

BIBLIOTEKA NARODOWA.

TOM I.

BOLESŁAWITA, EMISSARJUSZ.

All is true.

EMISSARJUSZ.

WSPOMNIENIE Z ROKU 1838.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

LWÓW.
NAKŁADEM F. H. RICHTERA.
1869.

Kraj. 104

Biblioteka Publiczna
im.
Poznań

1986 I 44

Księgozbiór
H. FILOCHOWSKICH.

Jednym z najsmutniejszych widoków na świecie jest małe a brudne miasteczko, dodawszy jeszcze dzień słotny i niebo pochmurne, a naostatek okoliczność nie przyczyniającą się do upięknienia — moskiewską administracyę, która z najuboższej i najbrzydszej mieściny jak pracowita pszczółka umie tylko dla siebie wyciągać soki pożywne... a wynędzniać nieszczęśliwą ofiarę — będziemy mieli obraz brzydoty idealnej.

Niestety — jesteśmy zmuszeni wprowadzić właśnie czytelnika do takiej mieściny w pochmurny wieczór jesienny, bo pierwsza scena dramatu w niej się odegrywa. Do niewysłowionego smutku, jaki przedstawiała ta ruina, przyczyniała się jej świetna niegdyś przeszłość jeszcze wśród wycieńczenia, wśród nędzy i brudów—widoczna. Po nad resztkami lichych domów drewnianych i chatek na pół w ziemię zapadłych, na wzgórzu na tle niebios mglistem wznosiły się wspaniałe niegdyś mury zamku odwiecznego, sterczące dlatego tylko

tak długo, że ich rozbić nie miano siły — wspaniała wieża katedralnego kościoła, i opalone ściany kilkunastu świątyń i opustoszonych klasztorów. Z tej dawnej świetności nie pozostało nic oprócz walących się murów... kopuł, odartych z dachów wieżyc i czarnych kominów... Mówiono, że Car Mikołaj przed laty dziesiątkiem, gdy jeszcze miasteczko było całe i żywe... przejeżdżając przez nie spojrzał na to mnóstwo kościołów katolickich, i w przystępie nienawiści dla wszystkiego, co mu Polskę przypominało, odezwał się był głośno: Nie mogę cierpieć tej mieściny!

W parę lat z niewiadomych przyczyn powstał pożar gwałtowny i zniszczył znaczną część najpiękniejszych gmachów... a to co ocalało od pierwszego ognia, wkrótce spłonęło w powtórnych płomieniach nanieconych ręką niewidzialną. Miasto poszło w zgliszcza i perzynę, paliło się co roku w porze, gdy ogień mógł je najłatwiej ująć, i rozpadło się w te gruzy. Ze zniszczonych kilku klasztorów porobiono magazyny wojskowe, inne porozbierano, w innych połatawszy je umieszczono więźniów, potworzono turmy, parę mniejszych kościołków sprzedano żydom i przeistoiczono na kamieniczki, inne powoli jadła słota i obalały wichry. Z dawnej wielkości pozostały olbrzymie zgliszcza. W kilka lat miasto, niegdyś stolica księstwa, ziemi,

siedlisko głównych sądów, grod biskupi — przedstawiało obraz najsmutniejszych w świecie rozwalin... Nie było uliczki, którejby obok drewnianych nędznych klatek nowych, nie osmucała ogromna ruina... stosy gruzów, sterczące kominy, kupy węgla i rumowisk... Życie dawne przestraszone uciekło z tych miejsc skazanych na powolne konanie. Z cegieł porozbieranych świątyń wznosiły się cerkwie nowe, turmy i kaznaczejstwa... zwykłe moskiewskiej cywilizacyi godła... równie poczwarnie wyglądające jak ona.

Wypędzono biskupa, rozeguano księży, powynoszono sądy, a reszcie starców ledwie dozwolono kąta, w którymby umrzeć mogli pod strażą karabinów moskiewskich. Miasteczko przedstawiało niby cmentarz pełen pamiątek, na którego grobowiskach policmajster i sprawnik ssali resztkę pozostałej ludności, którą nałóg i nędza przykuwały do miejsca.

Proszęż sobie wystawić ten gród niegdyś możny, dziś ledwie dyszący pod błogosławionemi rządy łupiezców — w pochmurny dzień a raczej wieczór jesienny, w dészcz i wicher, z uliczkami pełnemi błota niby wymoszczonemi tarcicami i dylami, które przejazd utrudniały i tworzyły gdzieniegdzie rodzaj barykad wśród przepaści. W ulicach żywej duszy, gdzie niegdzie żyd przesuwający

się okrywszy głowę podniesionemi na nią połami szarafana... wóz nędznemi szkapami ciągniony i grzęznący w rynku... wychudły pies lub odarty żebrak...

Na progu tych murowanych budek strażniczych, które mają niby strzedz porządku... widać było tylko przypartą do ściany halebardę budnika... on sam na barłogu odpoczywał gdzieś po wódce, pewien że policmajster w taką szargę nie wyjedzie na ulicę.

Wiatr wył w zaułkach i po wązkich pustych szyjach między murami... obryzganemi błotem wysoko.

Gdzieniegdzie po nad dachy zajezdnych domostw z komina wyrywało się trochę dymu, którym wiatr miótł po ziemi. Niewysłowiona tęsknota... nieopisane wyziewy błota, atmosfera gęsta i smrodliwa opasywały nieszczęśliwą ruinę.

W jednej z uliczek szerszych nieco, w drewnianym domku podniesionym podmurowaniem nad poziom grzęzawicy ulicznej, nad którego drzwiami przybitą była deska z namalowanym energicznie orłem moskiewskim — w pierwszej izdebce siedział wcale nie ciekawy człowieczek. Poznać w nim było łatwo moskiewskiego czynownika nietylko po mundurze, ale i po fizjognomii, którą kancelaryjną nazwać byłoby najwłaściwiej. Izbę tę — której środek zajmował stolik, zielonem suknem wyszarzanem okryty i po podłodze plamkami czarnemi atramentu obwiedziony, przystrajała litografia cesarza, dwa pomniejsze stoły z kałamarzami, i kilka krzesełek, z których jedno wyściełała mizerna wysiedziana poduszeczka. Oczywiście zużytkował ją w tej chwili skazany na samotną medytację urzędnik, oparty na stole i poglądający smętnie w zabrukane i od wieków nie myte okno. Nizkie czoło, czerwony nos, szerokie usta, wygolona twarz i brodawka około warg, odznaczały sekretarza policmajstra.

Nie byłto bowiem kto inny nad samego sekretarza... Drzwi od kancelaryi, po za któremi słychać było dosyć głośną, przerywaną śmiechami rozmowę, łączyły to biuro puste z prywatnem mieszkaniem pułkownika Pramina, naówczas pełniącego obowiązki naczelnika grodu w miasteczku...

Zapomnieliśmy dodać, iż przede drzwiami domku stała jednokonna, straszliwie obłocona dorożka, skórą pokryta, której woźnica odwrócony plecami do deszczu, drzemał oczekując na swego pana.

Sekretarz policmajstra ziewał i przeklinał konieczność siedzenia w pustej kancelaryi — zaczynało powoli zmierzchać.

W tem zwolna i ostrożnie otwarły się drzwi, ukazała głowa, i ocierając nogi w progu wszedł kapiący deszczem żydek. Byłto faktor z domu zajezdnego Nysonowiczów, który jarmułką ukłonił się sekretarzowi i za suknią począł szukać papieru. Sekretarz przybrał minę i postawę groźną, urzędniczą, powagi pełną.

— Czego chcesz?...

— Proszę jasnego pana... paszport... Podróżny przejeżdża, to się melduje.

Sekretarz wziął naprzód marszcząc brwi papier i spojrzał na ręce żydkowi, który złotych dwa

na stoliku po cichu położył... Czytał paszport z rodzajem wzgardy i wyrazem siły własnej.

Dwuzłotówka, którą już był schował do kieszeni w kamizelce, nie zdawała się wcale skutkować.

Raz i drugi paszport obrócił w ręku, szukając niby na nim, czego nie znajdował, i kręcąc głową:

— Co to jest? — zawołał nareście kładnąc papier na stoliku — co to za maniera? hę? Podróżny, a jeszcze cudzoziemiec, z daleka, djabli go tam wiedzą, osoba może podejrzana... przysyła sobie papier do podpisania, a nie jawi mi się osobiście? Cóżto ty Icku nie wiesz przepisów? hę? Czyto ja jeszcze sam mam iść do was, ażeby sprawdzić, że rysopis wierny, i spojrzeć w oczy jegomości temu? Cóżto nie wiesz jakie czasy? hę? kiedy nam najsrożej przepisano zwracać jak najbaczniejszą uwagę na każdego podróżującego a zwłaszcza cudzoziemca? Ale co to jest? ale to wy sobie ze mnie i z pułkownika żarty stroicie? hę? chcecie może pod sąd oddać? hę? Trzydzieści kopijek należy się za pieczątkę... ot co! a podróżny niechaj się sam połatyguje do kancelaryi.

Icek spojrzał na zabłocone nogi.

— Jaśnie sekretarzu — rzekł — to jest chory człowiek.

— A poco jeździ kiedy chory?

— Jemu zębów okrutnie bolą...

— Niech go boli co chce, a on tu mi powinien być sam... Hę? niechno ja mu w oczy spojrzę.. Tak prawo chce... a ja nie mogę wizować nie widząc... Teraz taki czas... diabeł go wie jakiej nacji... paszport niezrozumiały.

— Nacyi? — odparł żydek — co ma być nacji! Kiedy to jest zegarmistrz...

— Mnie wszystko jedno... czy on zegarmistrz, czy graf, czy ktobykolwiek był, a dosyć że on przez uszanowanie władzy powinien się stawić do kancelaryi.

Icek ruszył ramionami i dobył jeszcze dwuzłotówkę, cofając się po dokonaniu w milczeniu tego śmiałego czynu znowu do progu.

W milczeniu także sekretarz naprzód schował dwuzłotówkę do kieszeni, ale zaraz stuknął ręką o stół.

— Żebyś mi dał rubla! słysz? z tego nic nie będzie — człowiek cudzoziemski, zagraniczny człowiek... Zegarmistrz, albo ty wiesz czy prawdziwy zegarmistrz, czy udaje! Możesz ty wiedzieć? Znasz ty najsroższe przepisy policyjne? hę! Icek! Icek! nie igraj z władzą! nie próbuj cierpliwości mojej... Ostatnie słowo: idź precz, a przyszlij tu tego człowieka.

— Ale on nie gada żadnego języka — zawołał Icek... a no po niemiecku...

— Ja go wyegzaminuję... der, die, das!—krzyknął sekretarz — daj mi go tu... inaczej nie będzie... Czy ty wiesz jakie to czasy!

— Co ja mam wiedzieć — rzekł żydek ruszając ramionami.

Sekretarz podniósł rękę do góry.

— Czy ty wiesz jaka odpowiedzialność! Co to jest przepuścić cudzoziemca... zagranicznego cudzoziemca... nie skonfrontowawszy rysopisu?...

Stuknął o stół: — Idź mi zaraz po niego. Żyd się poskrobał, nie śmiał już mówić, ale błagająco kiwał głową.

— Ja się z tem znam, co wy faktory umiecie. Cudzoziemiec, przypuszczam człowiek porządny, który zna dobrze, iż na świecie nic się darmo nie robi... daje rubla albo dwa za paszport... a faktor przynosi mi nędzne dwie dwuzłotówki.

Żyd się w piersi uderzył.

— Niech się sam stawi — dodał sekretarz — idź natychmiast... precz...

Icek postał chwilę, zawrócił się niechętny, stuknął drzwiami i zniknął.

Sekretarz uśmiechnął się do siebie... ujął paszport w ręce i począł mu się przypatrywać ze wszech stron... kiwał głową... potem zapiął mun-

dur, wyciągnął nieco kołnierzyk, spojrzał w lusterko od much upstrzone, i przysunąwszy ogromną księgę przetrząsał ją niezmiernie pilnie, aby sobie nadać pozór zajętego pracą człowieka... Pióro założył za ucho.

Przysłuchiwał się czy kto nie idzie... ale naprożno. Słychać było tylko kapanie deszczu z dachów i poświstujący wiatr wieczorny.

Nareszcie chód dał się pochwycić w ganku, w sieni, drzwi zaskrzypiały i na progu zrzucając płaszcz ukazał się dość słusznego wzrostu mężczyzna.

Sekretarz zatopiony w księdze, z brwiami zmarszczonemi powoli podniosł głowę... Podróżny z podwiązaną twarzą skłonił mu się lekko i począł bełkotać po niemiecku. Icek patrzał to na niego to na sekretarza, który zdawał się sprawdzać rysopis.

Twarzy podróżnego dobrze rozeznać nie było można, dwoje tylko oczów czarnych, młodych, ognistem wejrzeniem tryskało z pod czoła. Ubrany był porządnie... i miał coś w sobie, co sekretarza onieśmielało.

Ale nie darmo on był urzędnikiem policyjnym, mimo że rysopis się zgadzał z paszportem, potrzeba się było podrożyć i spróbować przynajmniej coś wytargować z nieznajomego.

Sekretarz więc nic nie mówiąc popatrzywszy na paszport, wstał i majestatycznie z piórem w zębach wyszedł przez drzwi wiodące do wnętrza domu.

Podróżny zdawał się na to wszystko spoglądać bardzo obojętnie. Icek mu podszepnął po nie-

miecku: — Jemu jeszcze trzeba co dać, a nie to będzie nudził.

Nieznajomy głową kiwnął.

Sekretarz tymczasem wszedł z paszportem do pokoju, w którym ratując się przeciw spleenowi i nudom, sprawnik z policmajstrem grali w ekarte.

Butelka rumu i szklanki herbaty dotrzymywały im towarzystwa.

Postrzegłszy sekretarza Paramin, który nie cierpiał aby mu przerywano, podniósł głowę markotny i gniewny.

— Czego ty chcesz! Jak ty śmiesz...

Sekretarz za całą odpowiedź podsunął mu paszport.

— No, to podpisz go i idź do sto tysięcy diabłów...

— Podpisz, no tak — rzekł sekretarz — ale to zagraniczny cudzoziemiec.

— Co? kto? kto taki?

— Zegarmistrz...

— Pal go licho razem z tobą!

— A jeźli podejrzana jaka osoba?

— To twoja rzecz... wypytaj go,..

— Mówi tylko po niemiecku.

— Puszczaj go... jak Niemiec, nie może być podejrzany... Czyj poddany?

— Pruski poddany.

— A jak ty śmiesz głupi wstrzymywać pruskiego poddanego? hę? Ty wiesz... o głowo ty głowo... z uszami długiemi... że król pruski krewny Naj. Pana, że my z Prusakami w przyjaźni...

— Ale ja polityką się nie zajmuję...

— To idźże precz... i ruszaj pókiś cały.

Sekretarz pokiwawszy głową wyszedł bardzo powolnie.

— Czortże jego wie — rzekł w duchu — pruski poddany... zapewne że to coś znaczy... a jakby mieli Prusacy się gniewać?...

Zdecydowany podpisać paszport szedł, ale chętka wyzyskania zręczności nadawała mu minę zasępioną i groźną. Z tą miną ukazał się we drzwiach i kroczył ku stolikowi, na którym leżący rubel oczy jego uderzył. Argument ten poskutkował i sekretarz zajął się położeniem wizy, pieczęci policyjnej i własnego podpisu. Wszystko to zabrało kawałek czasu, bo urzędnik gwoli wygodzie jakiegoś tam podróżnego, chociażby i poddanego pruskiego, spieszyć się nigdy nie powinien. Naostatek paszport opatrzony został wyciśnioną pieczęcią, i sekretarz oddał go bardzo dotąd cierpliwie oczekującemu nań jegomości z podwiązaną twarzą.

Mrok padał i podróżny już miał wychodzić, gdy w przyległym pokoju dały się słyszeć głosy.

Pułkownik Paramin żegnał się ze sprawnikiem, i wysoka postać naczelnika powiatu nagle ukazała się w drugich drzwiach.

Sprawnik szybko przechodził kancelaryę, ale miał czas rzucić okiem na stojącego w płaszczu pruskiego poddanego, oczy ich się spotkały. Podróżny nie zmieszał się wcale, tylko sprawnik na chwilę przystanął, zdawało się że przestraszony chce wrócić, trwało to mgnienie oka tylko, rzucił okiem jeszcze raz na stojącego w progu i wyszedł. W sieni jeszcze się jakby rozmyślając zatrzymał, puścił dym z cygara i machnąwszy ręką zawołał na śpiącego woźnicę:

— Podawaj!

Wańka przebudzony zaciął konia, na co mu ten równie zdumiony odpowiedział wierzgnięciem i błotem, ale dorożka zajechała... a sprawnik rzucił się w nią i ruszył z kopyta.

W chwilę potem podróżny z Ickiem wydobył się z kancelaryi policmajstra i znikł w pomroce ulicznej, brnąc przez grzązkie ulice.

Była godzina dziewiąta, noc czarna z deszczem i mgłą pokrywała już na pół uspione miasteczko... gdy wysłany na pocztę inwalid... opóźniwszy się mocno z worem skórzanym pełnym papierów wcisnął się do kancelaryi.

Sekretarz właśnie na tę nieszczęśliwą pocztę do tak późna oczekiwał zniecierpliwiony. Samowar nastawiony oddawna, czuła żona oczekująca nań w towarzystwie podporucznika Miłuszyna... ciepła izdebka i wypoczynek usmiechały mu się napróżno.

Paramin sam nie zabijał się pracą, ale dla podwładnych w służbie był nieubłagany. Zobaczywszy więc w progu inwalida, sekretarz zrzucił pychę z serca i pobiegł mu pomagać do rozpakowania poczty.

— Czegoś ty się spóźnił? niegodziwy?

— Ja się spóźnił, Wasze Błahorodje! Ja? nie ja się spóźnilem ale poczta, bo około Jarmuszowa zagrzęzła... przywieźli tylko rządowe papiery na koniach, a reszta tłumoków w błocie...

— Dawaj!

W mgnieniu oka doświadczony czynownik rozebrał paczki, porozrywał koperty, rozrzucił i poklassyfikował papiery.

Aż trzy pisma, do których lakiem poprzylepiane były piórka, oznaczające pospiech z jakiem lecieć były powinny, a na których kopertach stało: Bardzo ważne (Wieśma nużnoje) i — sekretne, uderzyły oczy przerażonego sekretarza. Nadzwyczaj rzadko coś podobnego trafiło się odbierać miejskiej policyi, a tu aż trzy naraz pisma sekretne. Nie wiedzieć dla czego ręce zadrżały sekretarzowi.

— Stój przy progu i pilnuj, ja muszę do policmajstra — zawołał, pochwycił trzy sekretne i z miną ważną wszedł do pokoju, w którym pułkownik z wyciągnionemi nogami, w szlafroku, z cygarem zabawiał się trafnemi żarcikami z guwernantką swoich dzieci.

Jeźli nie miłem mu było wdarcie się w jego kółko prywatne, gdy grał ze sprawnikiem, stokroć bardziej oburzającym wydał mu się sekretarz napastujący go o godzinie dziewiątej, odpoczywającego po trudach.

Zmarszczył się jowiszowym gniewem... ale nieustraszony sekretarz podał mu trzy pisma sekretne i świecę.

Była to posługa przechodząca jego obowiązki, ale ona mu się tem miała wypłacić, iż był pewien, że potrafi tak stanąć, aby na treść sekretnych odezw rzucić okiem.

Pułkownik nic nie mówiąc rozerwał pierwszą kopertę... popatrzał chwilę i pokiwawszy głową odłożył ją na sofę... nastąpiła druga... brwi się namarszczyły, ręka zadrżała; ruszył gwałtownie ramionami i odłożył ją widocznie zaniepokojony. Ale trzeci papier, trzeci, który mu pozostał na zakąskę... tak go przeraził, iż porwał się nagle z kanapy, obłąkanem okiem powiódł po pokoju, chwycił się za głowę i jak szalony wyleciał do kancelaryi.

Sekretarz ledwie mógł za nim podążyć blady jak chusta i drżący.

Policmajster wyrwany z łona rodziny, piorunem wpadł do kancelaryi, widocznie sam nie wiedząc co począć, zatrzasnął drzwiami za sobą, pochwycił się za głowę.

— Słuchaj... na obwach natychmiast sześciu ludzi... z bronią... rozumiesz... — rzekł do inwalida. Powiedz kapitanowi, że jeźli w pięć minut nie będą tu... czynię go za następstwa odpowiedzialnym, rozumiesz... sześciu ludzi, z bronią.

— Słyszę — rzekł równie przerażony inwalid biorąc się do wyjścia.

— Adamie Prokopowicz — zawołał rzucając papierami o stół policmajster — nieszczęście! zguba... Bież do Hryszy, niech mi tu poda mundur, szpadę... każ konie zaprzęgać... Mówię ci... ty, ja... wszyscy pod sąd! Nieszczęśliwa godzina... Przynieś mi butelkę z wódką. Powiedz matronie Iwanównie, niech mi się żadna baba na oczy nie pokazuje...

Sekretarz stał, słuchał i na wiarę starszego ręce łamał nad nieszczęściem, którego głębiny sam jeszcze zmierzyć nie mógł.

— Ale ja głowę tracę...—krzyknął pułkownik.— Adam Prokopowicz... tak... nie... ja idę się ubierać... ty przeczytaj pismo sekretne... mów, pomagaj... co robić, a nie to i ciebie i żonę i wszystkich diabli pobiorą...

Paramin wyszedł a sekretarz rzucił się chciwie na sekretne i bardzo ważne papiery.

Pierwszy z nich oznajmywał pułkownikowi, aby z powodu rozgałęzionego w guberniach zachodnich spisku, dawać jak największą baczność na przejeżdżających podróżnych, ich paszporta i listy pocztowe.

Już nad tem pierwszem Adam Prokopowicz począł głową trząść, nie umiejąc pojąć i przypuścić, jak na świecie znajdować się mogli ludzie tak zuchwali, tak niegodziwi, którzy spiski knuć śmieli przeciwko rządowi.

Drugie pismo było jeszcze gorsze... Wskazywano w niem policmajstrowi, iż przez powiat i miasteczko wiodła droga, którą wedle wszelkiego prawdopodobieństwa uciekający z Kijowa zbrodniarze przesuwać się mieli... rozkazano postawić straże na rogatkach, nikogo nie puszczać bez papierów, a szczególniej dawać baczność na ludzi podszywających się pod nazwisko i paszporty cudzoziemskie.

Zimny pot wystąpił na czoło sekretarza...

— Dla tych ludzi nie ma nic świętego! — zawołał... paszport! niegodziwi!

Trzecia odezwa, na której wierzchu stała przestroga: bardzo sekretne, zawierało rysopis głównego sprawcy, słowo w słowo zgadzający się z rysopisem przed chwilą wypuszczonego zegarmistrza... Dodawano iż mógł on mieć paszport niemiecki, a nawet pruski...

Sekretarz ręce załamał.

— No tak! — krzyknął — to był on! to był on, ja miałem dobry nos... a pułkownik politykował. Co nam do polityki! Jego trzeba było zaraz w kajdanki... i na obwach... do turmy... to był on... a teraz... szukaj wiatra w polu... Dowiedzą się, że myśmy go przepuścili, że ja mu paszport wizował, złapią go i mój podpis znajdą... tak ja przepadł... przepadł! przepadł!

Sekretarz zrozpaczony zakrył sobie oczy, instynktowo pobiegł do kąta za stołem, dobył butelkę, odkorkował i napił się rumu... który w takich zrozpaczonych wypadkach jeden tylko utraconą przytomność przywrócić może.

— Boże miej miłosierdzie nademną! — zawołał obracając się do kąta, w którym przed obrazem Zbawiciela, słabo świecąca gorzała lampeczka.

Rum i modlitwa dodały mu otuchy.

— Ależ nie może być, żeby on w taką noc czarną dokąd wyjechał? Z bolem zębów! Ba! Jego tak zęby bolą jak mnie... to udane... Nie! my jego złapać musimy... Pan Bóg łaskaw! Byłem go ja złapał... paszportu i wizy śladu nie zostanie.

Miał znowu otuchy szukać w butelce, gdy pułkownik, który się był ubrał na prędce i pokrzepił Cognakiem. wpadł przypasując szpadę.

— Żołnierzy niema... minut dziesięć... a żołnierzy niema.

— My jego złapiemy tego niegodziwca... on musi być w mieście — noc czarna jak piekło i dészcz... on nie pojechał!

— Głupi, taż to właśnie noc do ucieczki...

Sekretarz chwycił się za włosy...

Zastukało w sieniach... w progu ukazał się podporucznik Samojleńko... a za nim karabiny żołnierzy.

— Co tobie... pułkowniku — zawołał śmiejąc się w progu młody wojskowy — czego ty nas po deszczu i błocie niepokoisz... nie pora to tobie spać...

Ale spojrzawszy na twarz bladą i usta drżące Paramina, Samojlenko zamilkł i domyślił się, że sprawa była ważna.

— Konia z siodłem... podawaj konia!— krzyczał pułkownik...

— Co się stało? Co to jest?

— Nic — sprawa rządowa... aresztant bardzo ważny... dzieło polityczne... żołnierze pójdą za mną, obstawią dom, który pokażę, i nie wypuszczą z niego nikogo... a jeźliby się chciał wymykać... chwytać... bodaj zabić!

Koń stał przed gankiem równie zdziwiony jak dieńszczyk, co go wyprowadził — oba ziewali.

Sekretarz zakasawszy spodnie miał z zakrytą połą latareńką prowadzić żołnierzy... Wszystko co żyło na policyi miejskiej ruszyło na wielką wyprawę. Deszcz lał nielitościwy.

W sprzeczności z ruchem, jaki panował około mieszkania policmajstra, miasteczko przedstawiało widok obumarły i uspiony. Gdzieniegdzie błyskało mdłe światełko łojowej świeczki, odbijające się malowniczo w błocie i kałużach... Bramy domostwa były pozamykane, ciszę głęboką przerywał tylko plusk deszczu i woda płynąca z dachów i rynew... W ulicach ani żywego ducha... Sklepy się oddawna pozamykały... Z szynków tylko i to nie wszystkich przez szpary okiennic świeciło...

Policmajster nie zważając na niebezpieczeństwa, gdyż w miasteczku pieczy jego powierzonem w ulicy po nocy wyśmienicie kark skręcić było można... wśród jam i pływających po błocie dyłów, szybko posuwał się ku domostwu Nysonowiczów. Był to jeden z najwygodniejszych domów zajezdnych, który jednemu tylko, grubego Lejzora, ustępował pod względem powierzchowności. Niegdyś była to słynna winiarnia... dziś niestety nie szczycąca sie już ani Tokajem dawnym, ani Zielenia-

kiem czystym... Sprzedawano tam jeszcze Maderę i Porter, ale bodaj czy nie krajowego przemysłu owoce. Dom pogrążony był w ciemnościach, okiennice pozamykane, brama zatarasowana... W milczeniu opasano go... ustawiono żołnierzy u wszystkich wnijść, pod oknami, w około... a policmajster trzymając za rękojeść szpady poruszył mocno furtkę... w przekonaniu iż była zamkniętą... Ten wysiłek zbyteczny o mało nie stał się przyczyną upadku w progu, gdyż drzwiczki otworzyły się z niespodziewaną łatwością, a pułkownik wpadł we wnętrze ciemne, ledwie się trzymając na nogach... Ogarnęła go noc... i krzyknął urzędowym językiem:

— Światła!...

Na głos ten znany ruszyły się w izbach żydówki i żydzi... czworo drzwi otwarto razem i cztery smugi światła padły w sieni ciemne i puste.

Policmajster pod wrażeniem strachu, niepokoju i srogiej odpowiedzialności, jaka go czekać mogła, rzucił się na pierwszego żydka, który mu się nastręczył, pochwycił go za gardło i zawołał głosem od gniewu stłumionym:

— Gdzie podróżny? mów... gdzie podróżny!... Z całego domostwa zbiegli mieszkańcy otaczali pułkownika, sam bardzo poważny gospodarz nie

mogąc pojąć co się stało, ale widząc go zagniewanym, uchylił jarmułki i spytał:

— Kogo jasny pan szuka?

— Buntownicy! spiskowcy... ja was nauczę. Gdzie podróżny?

— Jaki podróżny?

W tem sekretarz w trop idący za Paraminem postrzegł Icka i przyskoczył do niego.

— Aha! już wy teraz nie wiecie jaki podróżny... Szarańcza jakaś! Jaki podróżny? a ten, z którym przychodziłeś na policyą.

— A waj! Proszęż jasnego pułkownika do pokoju — rzekł gospodarz.

— Gdzie podróżny? — wołali pułkownik i sekretarz.

— A! proszę jasnego pana, cóż my winni... podróżny się meldował, my jego zaprowadzili na policyą, pan sekretarz jemu paszport podpisał.

— Wziąć jego do turmy — krzyknął pułkownik wskazując Icka.

— Ale gdzie podróżny?

— Albo ja mogę wiedzieć gdzie on jest... Jak jemu paszport panowie podpisali i nacisnęli pieczęci... poszedł sobie furę szukać. Temu będzie godzin trzy jak go tu nie słychać.

Paramin porwał się za głowę...

— Kłamiesz — zawołał do żyda.

Stary Nyson obraził się, ruszył ramionami i rzekł powolnie:

— Niech panowie sobie jego szukają...

Trzech żołnierzy z karabinami pokazali się od strony wrót, oficer, sekretarz, dwóch policyantów... poszli dom rewidować... Pułkownik jak nieprzytomny wszedł do izby, siadł... podano mu flaszkę wina, począł pić klnąc, i klął pijąc. Podejrzanego wielce podróżnego nie było ani śladu.

Po nader pracowitem przeplądrowaniu domu a nawet lochu, z którego kilka butelek naturalnie żołnierze wynieśli... po zbadaniu posługaczów wytoczyło się protokolarne śledztwo.

Okazało się z zeznań Icka, młodej Ryfki, która rybę nosiła podróżnemu, i wnuka gospodarza, który chodził na próżno namawiać go na butelkę wina... iż podejrzany ów mężczyzna przybył z rana, że mało co jadł, że nie pił wcale, iż się z nim i jego niemczyzną rozmówić nader było trudno, że miał z sobą kilka czy kilkanaście pięknych zegarków, że w czasie pobytu zupełną okazywał spokojność, chociaż widocznie się spieszył z wyjazdem. Dokąd i zkąd jechał? pozostawało nierozwikłaną zagadką.

Sekretarz, który paszport wizował, nie rzucił okiem baczniejszem na poprzedzające podpisy i daty. W każdem innem małem miasteczku z kierunku ulic... można było wnosić, od której świata strony przyjechał podróżny, i w którą się udał —

tu... oblane wodą dokoła ruiny miały tylko jedną drogę — którą się do nich wjeżdżało i wyjeżdżało.

Zkąd inąd policya moskiewska jak wiele innych władz, nie nawykła jest wcale do zapuszczania się subtelnego w drobne szczegóły i wyrozumowywanie czynności, u niej gwałt zastępuje bystrość. W Anglii detectiv'y muszą sobie łamać głowę, aby niewinnego nie zaczepić — tu gdy się poszukuje jednego, wolno tymczasowo uwięzić dziesięciu, co tem jest przyjemniejszem, iż się każdy z nich jeszcze opłacić musi.

Na ten raz wszakże policmajster natężył wszystkie władze umysłowe... rozkazał podać sobie świecę i zaprowadzić się do izby, którą zajmował podróżny. Rachował na to, iż tam może znajdzie jaką poszlakę... Pokój, który ów tajemniczy podejrzany człowiek zajmował, szczęściem po oddaleniu się jego nie był zamiatany.

Paramin wiodąc za sobą sekretarza, wszedł doń zaostrzając wszystkie swe władze.. Jedno okienko, jeden stolik, sianem wysłane łóżeczko, które zachowało wycisk ciała co na niem spoczywało, stołek wysunięty ku środkowi pokoju — oto co spostrzegł na pierwszy rzut oka policmajster... Sekretarz wzdychał, ćmiło mu się w oczach, nie widział nic, w uszach tętniały wyrazy—„Pod sąd!“

Wiedział dobrze, iż wina cała na niego spadnie, choć Bogiem a prawdą, reflektował naczelnika swojego na to, że podróżny był cudzoziemiec zagraniczny. Policmajster chodząc ze świecą, nagle rzucił się z nią zaglądając pod łóżko... Za niem na podłodze, leżały kawałki podartego papieru. Sekretarz odgadł o co chodziło, ukląkł i pozbierał je jak najstaranniej.

Papiery były zmięte i podarte, ale na nich tu i owdzie stały urywane wyrazy po polsku pisane.

Paramin uderzył się w czoło.

— Wołać mi tu Icka.

Sekretarz przyciągnął go natychmiast za kołnierz, przestraszonego.

— Odpowiadaj... a prawdę... prawdę! bo zginiesz... Czy izba była wymieciona wprzód, nim ją zajął podróżny? kto ją przed nim zajmował.

— Przed nim? a waj! stał pan Stecki... a czy była wymieciona? pewnie że była wymieciona...

— A pod łóżkiem?

— Nu... wszędzie... siana nie było nawet na łóżku a waj...

— Otóż co jest — rzekł zbierając kawałki papieru Paramin... niemiec... a papiery po polsku.

Sekretarz tragicznie ręce załamał.

— Tych żydów powieszać! wszystkich na Sybir... są w spisku z politycznymi przestępcami.., ot co!

— krzyczał policmajster... I jak być może żebyście nie wiedzieli dokąd pojechał? przecież mówił? pytał? szukał koni...

— On jechał a przynajmniej gadał, co ma jechać do Dubna — zawołał Icek.

— A! to ty teraz już wiesz — ryknął pułkownik — do turmy z nim! a pod rózgami powie nam wszystko.

Icek począł płakać.

Policmajster skinął, uprowadzono go... zabrano papiery — Koni pocztowych! na gościniec do Dubna! — zawołał... żywo...

Sekretarz już szedł do drzwi. — Panie pułkowniku — zawołał zwracając się nagle — jeźli to taki łotr... to on umyślnie mówił, że do Dubna pojedzie, a pewnie licho go wie, dokąd się wybrał. Trzeba go ścigać po wszystkich gościńcach.

Pułkownik milczący głową kiwnął. —Do sprawnika! Nie ma co rozmyślać, trzeba użyć najgwałtowniejszych środków.

Domawiał tych słów, gdy szmer zrobił się w sieniach i wysoka postać kapitana sprawnika niespodzianie ukazała się na progu. Dwaj przyjaciele zmierzyli się oczyma i zrozumieli wejrzeniem.

Sprawnik natychmiast skinieniem za drzwi wszystkich wyprawił.

— Wiecie co się dzieje! — rzekł Paramin gdy zostali sami.

— Cyt! cyt! bez wrzawy! na co było tyle robić halasu.

— Ale wiecie?

— Wiem pewnie więcej niż wy!

— Odebraliście pisma sekretne.

Sprawnik ruszył ramionami.

— Przecież cały powiat na mojej głowie. Aleksy Iwanowicz... ważne nadchodzą wypadki... trzeba się wziąć za ręce.

Podali sobie dłonie milczący.

— Wy już jedno zrobiliście głupstwo.

Policmajster westchnął.—Czortże wiedział co to za ptaszek!

— Jam go widział wychodząc od was, i ja wam mogę teraz na śmiało powiedzieć, co to za ptak, bo ja go znam dawno.

— Wy go znacie? a czemuż?

— Cyt — ktoby się był mógł domyśleć, że ta bestja skazana w Sybir za politykę... ośmieli się tu pokazać.

Paramin usłyszawszy te słowa rzucił się rozpaczliwie.

— Cicho, cyt... sza... Aleksy Iwanowicz... cicho... nikt o tem wiedzieć nie powinien... Zniżył głos...

— A no! tak! ja go znam dobrze. Bestja ta spiskowała już w r. 1831, był wzięty, sądzony w Sybir i wyrwał się w Żytomierzu z więzienia i drapnął za granicę... Ktoby mógł pomyśleć, że on tu po tylu latach głowę przyniesie?

— Wyście go znali?

— O! o! doskonale! zestarzał, zmężniał, ale jak na mnie spojrzał, poznałem go od razu. Stanąłem, chciałem zaraz do was powrócić i przestrzedz... ale mi wstyd było — a nuż się omylę i wrzawy narobię. Wówczas jeszcze nie nadeszły pisma sekretne... o spisku nie wiedziałem... Myślałem, że diabeł do diabła podobny...

Sprawnik westchnął.

— A mam do niego ząb! oj! gdyby mi się w rączki dostał. I mam nadzieję że się dostanie... bo wiem gdzie go szukać.

Paramin porwał się go ściskać.

— Aleksandrze Piotrowicz — zawołał — ja twój na życie i śmierć... bierz konia bulanego, rysaka... a ratuj mnie i nie gub moich dzieci.

— Bądź spokojny — odparł sprawnik — jutro mi rysaka przyszlij i nie mów nikomu słowa. Trzeba powiedzieć zaraz, że to była mylka, że się pokazuje, że to człowiek nie podejrzany... a ja resztę biorę na siebie. Konie pocztowe zajdą... ja natychmiast w powiat jadę... a ty... pilnuj się w

mieście... To mówiąc sprawnik, który miał więcej taktu i mocy nad sobą, począł się śmiać głośno wychodząc... aby głos jego słyszano.

— Pusta rzecz! — rzekł na progu — pusta rzecz, głupstwo! zegarmistrz, tak, niemiec, zegarmistrz! Odprawcie żołnierzy... nie ma o co robić sprawy. Żydka wypuścić.

Sekretarz zdziwił się nowemu obrotowi, ale nic nie rzekł. Paramin westchnął i wszystko powoli powlokło się do domów, ale sprawnik nie tracąc chwili, z dwoma żandarmami siadł na bryczkę pocztową i nocą pojechał. Dokąd? nie wiadomo.

Są w dawnych prowincyach Polski, które się dostały pod panowanie Moskwy, wioski mające skutkiem podziałów, zwanych eksdywizjami, które wierzycielom za długi wydzielały ziemię i włościan— tak porozdrabiane własności, iż w jednej części po pięć i sześć szlacheckich dworków się spotyka. Trafia się, iż za niewielki dług dostał ktoś kilkanaście morgów i jednego chłopka... z którym na współ około gospodarstwa pracować musiał.

O parę mil od miasteczka wzmiankowanego, u brzegu rzeki, spotyka się właśnie jednę taką osadę liczącą ośmiu panów, po większej części tak prawie ubogich jak włościanie. Pobudowane na prędce, liche między chatami dworki mieszczą tych nieszczęśliwych męczenników, mrących z głodu na swych dziedzictwach. Dla ziemskiej policyi owego czasu tego rodzaju podzielone posiadłości były niemałym kłopotem, ale też i najpewniejszą pastwą. Tu ona mogła dokazywać bezkarnie, a że powodów do przyczepek nie brakło, nie było pra-

wie dnia, żeby tu sprawnik, asesor, lub choćby jaki pisarczyk nie gościł.

Podatki rzadko kiedy opłacane, rekruckie spłaty, zaległości wszelkiego rodzaju, podwody, szarwarki spadały jak grad na bezbronnych bo ubogich, którzy się opłacać musieli groszem i zbożem od nieustannych napaści.

Najznakomitszą zwykle figurą po takich włościach bywał arendarz, bo karczma, z której dochodem dzielili się dziedzice, znajdowała się jedna, a zręczny propinator rządził mając grosz panami i włościanami. On tu właściwie królował. Tak było i w Olszowie, gdzie arendę trzymał od dawna bogaty żyd z miasteczka Froim Dubicńczyk, zręczny i zabiegły, handlarz razem i szynkarz, kapitalista i spekulator.

Najuboższym z właścicieli był podówczas stary Zacharjasz Zeńczewski, niegdyś rządca dóbr, plenipotent, dziś złamany chorobą i dogorywający kaleka. Miał on jednego tylko włościanina, któremu daleko się lepiej wiodło niż panu. Od lat kilku złożony chorobą, Zeńczewski z łóżka się nie ruszał, stara kuzynka, panna Róża, dzieliła jego losy, głód i kłopoty.

Dworek Zeńczewskiego na samym końcu Olszowa, z chaty przerobiony, do chaty był też podobniejszym niż do szlacheckiego domostwa. Stał

na pagórku nagim, obwiedziony lichym płotem i osadzony krzakami karłowatych wiśni i bzów dzikich. Obórki i stodółki na pół odarte opasywały go dokoła. W ogóle siedziba ta przedstawiała obraz nędzy i opuszczenia.

W dworku sień bez podłogi, na prawo izba czeladna, w lewo pokój jeden, alkierz i bokówka składały całe pomieszkanie. Mimo poźnej nocy i słoty, jeszcze się w tej biednej chacie świeciło... Stary Zeńczewski sypiać nie mógł, cierpiał mocno... a panna Roża dosiadywała przy jego łożu. Schludnie tu było ale nad wszelki wyraz ubogo i nędznie... sprzętu mało i biedny... Na stoliku płonęła świeczka łojowa w lichtarzu, zakryta nieco od strony łóżka; na pościeli bladą twarz widać tylko było z siwą brodą i zamkniętemi oczyma. W nogach na krzesełku twardem zadumana siedziała niemłoda kobiéta, wynędzniała, zmęczona ale spokojnego twarzy wyrazu. Zdawało się, że nieszczęście długie już ją z sobą było oswoiło. Na kolanach trzymała książkę od nabożeństwa, ale stary drzemał... panna Róża modliła się po cichu.

Nagle ciężkie westchnienie wyrwało się z piersi chorego; otworzył oczy.

— Co jegomości jest?

Zeńczewski powiódł wzrokiem do koła...

— At... marzyłem, moja dobrodziejko, alc dziwnie... dziwnie... Bogu niech będą dzięki i za sen.

Oboje westchnęli.

— Spojrz dobrodziéjko na zegarek, czas mi się wlecze... czy poźno?

— Ósma — odpowiedziała panna Róża, zbliżając się do srebrnego kieszonkowego zegarka na stoliku.

— Dopiero ósma... byłem pewny, że już około północy.

Zamilkli... w dziedzińcu pies począł naszczekiwać mocno... Starzec podniósł głowę i słuchał...

Szczekanie psa poczęło się od progu... Stary Bryś pobiegł aż do bramy ujadając, chwilę jeszcze odzywał się, potem nagle zaskomlił i umilkł... potem jakby radośnie parę razy zaszczekał zbliżając się do dworku i wszystko ucichło.

Panna Róża wstała powoli i wyszła zaciekawiona do sieni. Widocznie ktoś przyszedł—i ktoś być musiał znajomy, bo piesby go nie dopuścił. Ale o tej godzinie? Któżby to mógł być? Do dworku ubogiego i we dnie mało kto kiedy się zjawił.

Starzec nic nie mówił, ale oczy trzymał otwarte i wzrok mu błysnął jakby ciekawością jakąś i nadzieją.

W sieniach było ciemno... panna Róża po cegłach dobrze sobie znanych przeszła sionkę pełną wody deszczowej... drzwi od podwórza były uchylone... naprzeciw w izbie czeladnej płonęło łuczywo i stara Pryska drzemiąc siedziała przy kądzieli. Ale nie była samą... twarz jej rozbudzona nagle wyrażała przestrach, wrzeciono wypadło z ręki... przed nią stał mężczyzna nieznajomy obwinięty w płaszcz, którego spuszczoną rękę Bryś lizał.

Panna Róża równie zdumiona osłupiała w progu. Nie tyle podróżny ów, co łagodność psa dla niego — dziwiła ją. Bryś był nieubłaganym zwykle... i nikomu, szczególniej nocą do drzwi się zbliżyć nie dawał — co znaczyła ta jego pobłażliwość dla człowieka obcego...

Zupełnie obcego... gdyż panna Róża naprożno się wpatrywała w niego... zdawało się jej, że go widzi pierwszy raz w życiu. Przybyły stał niemy i zmieszany.

Blady odblask palącego się łuczywa rzucał mdłe światło na twarz podwiązaną i czarne ogniste oczy...

— Przepraszam panią — odezwał się wreście niepostrzeżony znak jej dając — zabłąkałem się, wiozący mnie człowiek wywrócił... chciałbym się osuszyć nieco.

Na pierwszy dźwięk tego głosu panna Róża już otwarła usta do krzyku; gdy powtórny znak jej dany, wstrzymał ten objaw podziwienia... ale zaczęła drzeć, sparła się o drzwi i wyrazu długo z ust dobyć nie mogła. Wzrok jej wlepiony w nieznajomego... osłupiał... Widocznie sama nie wiedziała co począć... po chwili dopiero na słabym, drżącym głosem wymówione zdobyła się wyrazy.

— My tu... panie... we dwoje z chorym starcem... zimno... Niech pan się zatrzyma.. ja go spytam. Siądź pan... chwilę... ja pójdę...

Mówiąc to jąkała się, chciała iść, wracała, sama nie wiedząc co robić, załamała ręce, patrzała na nieznajomego, który upadł na ławę, i zamilkł spuściwszy głowę.

Nareszcie wyszła do sieni i tu stanęła jeszcze namyślając się co począć dalej, a po chwili dopiero otwarła drzwi do pokoju chorego, którego wzrok bystry ją spotkał na progu... Stary podparty na łokciu, niespokojny, jakby przeczuwając coś, patrzał w nią jak w tęczę.

Panna Róża... stała niema.

— Nieznajomy — podróżny... zbłądził... prosi...

— Wiem, wiem... prowadź go tu, niech przychodzi... wiem... gorączkowo zawołał stary.

— Wiesz? — zapytała zdziwiona Róża...

— Wiem... śniłem... to on... Cicho... niech przyjdzie... niech przyjdzie... o Boże...

Słabo zrobiło się biednej kobiécie, ledwie mogła obrócić się i wynijść opierając o ściany. Stary cały podniósł się, ręce wyciągnął... dyszał i powtarzał cicho do siebie:

— Miłosiernym jesteś Boże... to on... będą go więc oglądać jeszcze oczy moje... To on... Ale czy się mam cieszyć? Co za szaleństwo... skazany... zbieg... o Boże!... dla mnie... szubienica...

Mówiąc to zakrył oczy, ale drzwi skrzypnęły, odrzucił ręce prędko i wyciągnął.

— Paweł! — zawołał zaledwie ujrzawszy postać, która się wstrzymała w progu.

W milczeniu szybkiemi krokami nieznajomy podbiegł do łóżka i padł na kolana nie mówiąc słowa... Ręce starca spoczęły na jego ramionach, a usta na czole... i starzec począł płakać... Płakali oba, a panna Róża stojąc obok zachodziła się od tłumionego płaczu... Ale jej troskliwość i przytomność wywiodła ją natychmiast nazad do izby czeladniej, obawiała się, aby Pryska nie podpatrzyła ich lub nie podsłuchała. Kazała więc ognia nanieść... chciała coś ciepłego zgotować... ale co? w ubogiej chacie nie było czem przyjąć podróżnego. Przystawiono do ognia trochę mleka... była resztka zezerstwiałego chleba...

Uspokojona obojętnością sługi, która mrucząc łupała łuczywo, powróciła do izby starego.. Przybyły klęczał jeszcze u jego łoża... oba płakali urywanemi wyrazy mówiąc niozrozumiale.

— Paweł! — powtarzał starzec — siadaj! odsłoń twarz, niech cię widzę... ostatni to raz oglądają cię oczy moje... ostatni... Bóg wielki... ale mógłżeś narażać się aby przybyć do mnie.

— Nie mówmy o żadnem niebezpieczeństwie — cicho odparł podróżny, powitawszy dopiero płaczącą kobiétę, która nań z trwogą poglądała i miłością macierzyńską — nie mówmy... Jam przywykł do walki, do biedy i do takiego życia. Nic mi się nie stanie mój ojcze... Ojczyzna wołała, kazano dostać się do kraju... musiałem... a korzystając z tego przyszedłem cię zobaczyć... uścisnąć... i choć chwilę przebyć z tobą.

— O mój Boże — zawołał stary — ale jakże ty potrafisz się ztąd wydobyć .. wiesz jak pilnują... tu cię znają... tu każdy krok... to groźba śmierci...

— Nie mam też powodu z mojem życiem się drożyć, ojcze drogi, choć... nie obawiam się o nie... Nauczyłem się wygnaniem... zwodzić najbystrzejszych, przekradać, wymykać... i znikać.

— Ale tu... gdzie cię znają?

— A jednak! — uśmiechnął się podróżny — Mówmy o tobie ojcze.

— O mnie? Cóż ja ci powiem? Spojrz, widzisz... dożywam dni ostatka... leżę... modlę się... anioła stróża mam w nicj... — dodał wskazując kobiétę... Żyłem tylko nadzieją wieści o tobie... czułem że żyjesz, ale nie wiedziałem co poczynasz... czułem że cię przed zgonem oczy moje zobaczą, choć rozum się temu sprzeciwiał. Ale widzę cię i strach mię przejmuje... drętwieję.

— Ojcze! — rzekł Pawcł ze spokojną rezygnacyą — nie lękaj się o mnie, ja życie dawno oddałem sprawie narodowej, do niej ono należy. Ofiary mojej nie cofnę. Wymówiłem tylko sobie, abym ciebie mógł widzieć.

— Mój ty dobry Pawle, poczciwe, zacne dziecko, mów — rzekł stary — jak się tobie wiedzie?

— Pytać o to wygnańca, emigranta, włóczęgę, czyż można? Żyję, ale żyję cały myślą o ojczyźnie i pracą dla niej. Nędzę znosimy, idziemy popychani... znosim. Przyjmowano nas tryumfami, przeprowadzano okrzykami, wszystko to ustąpiło rzeczywistości smutnej, nadeszła obojętność... Jesteśmy wśród obcych, braci nie ma! Ja nauczyłem się zegarmistrzostwa, żyję z tego jakokolwiek. Ale dziś nie o tem myśleć... dziś w kraju się coś gotuje... potrzeba było śmiałych, aby wejść mogli i przenieść rozkazy i wieści — poszedłem.

— Na zgubne imię — rzekł stary.

— Wiem — odparł Paweł — ale zginąć dla świętej sprawy — możeż być co szlachetniejszego?...

— Tak! — rzekł stary podnosząc rękę.— Myśmy całym rodem ze zrządzenia Bożego przeznaczeni byli na cierpienia i zgubę. Pradziad twój miał dobra znaczne, dziad wychował cię na łasce, ojciec żył z ciężkiej pracy i zmiera w nędzy... a ty...

— Ale się z nas żaden nie splamił — dodał Paweł — szczęście nie jest zadaniem człowieka, jest trafem w życiu.

— Mów mi o sobie — rzekł stary — mów.

— Mój ojcze, wszystko ci już powiedziałem... resztę mówi moja przytomność na tej ziemi.

— Gdzież się podziejesz? Co myślisz?...

— Nie wiem... mam papiery ważne, mam polecenia... zdaje się, że część spisku już odkryto, ścigają niektórych. Moje posłannictwo tem większe. Jak z niem sobie rady dam, to Bóg wie jeden. Wierzę w opatrzność jego. A jeźli zginąć mi przeznaczono... nie zlęknę się... Wpadłem tu, bom cię chciał widzieć koniecznie, bądź co bądź, aby wziąć błogosławieństwo twe na życie, pracę lub śmierć... ale i tu... długo pozostać nie mogę. Niepowiodło mi się...

— Cóż się stało?

— Nic... ale mam wątpliwość, że mi coś tu grozić może... Zaledwie przybyłem do Łucka, kazano mi paszport meldować w policyi, nie mogłem się temu opierać, aby nie ściągnąć podejrzeń na siebie. Kazano mi się stawić osobiście... nieszczęście chciało, żebym tam spotkał —

— Kogo? — spytał niespokojnie stary.

— Szuwałę...

— Szuwałę! Poznał cię?

— Nie wiem. Spojrzał, zadrzał, zatrzymał się, zawahał i odszedł. Ale bądź co bądź nie jestem już pewnym ani tu ani w okolicy. Jeźli najmniejsze powziął podejrzenie będzie mnie tu szukał.

— Gdyby był poznał — rzekł stary — nie puściłby cię.

— Tak się i mnie zdawało... Ale ten człowiek nie nawidzi nas, jeźli myśl utkwi w nim, pośle tu szpiegów, będzie szukał i nie przepuści mi —

— Jemum winien, że leżę na tym barłogu — odparł stary... jemu żem zniszczony... Nie mam pokoju od niego. Nielitościwy... Jeźli tak jest, nie baw tu... uchodź... ale gdzież się obrócisz?

Paweł podumał.

— Nie wiem... potrzeba mi w głąb kraju się przerznąć, w stronę Polesia pińskiego, mam wskazane domy... drogi. Bylebym z tej okolicy ujść

mógł ku Majuniczom... tam mnie skryją... O mój ojcze, nie mówmy o mnie — mówmy o tobie...

W tej chwili biedna Róża przyniosła z kuchni parzone mleko w garnuszku i chleba kawałek... Na łzy się jej zbierało, że tak ubogo przyjąć musiała gościa tak drogiego, ale w domu nie było nic... a posyłać o tej porze do arendarza było to zwrócić uwagę.

— Mój kochany Pawle... poźna noc... — rzekła zafrasowana — a u nas nic nie było oprócz mleka i chleba... może się co ciepłego napijesz?

Pawcł przyjął posiłek... łza mu się zakręciła w oku... zrozumiał on nędzę ojcowską... serce się ścisnęło.

Chciał zaraz pannie Róży oddać to, co był z sobą przyniósł dla ojca z pracy własnej, ale na chwilę odstąpić go nie było można. Starzec nie mógł się synem nasycić... patrzał... słuchał... kazał mu się przysuwać, trzymał za rękę... i płakał.

Było już dobrze po północy... a rozmowa jeszcze się nie przerwała, przed rankiem Paweł musiał o mroku wędrować dalej.

Gdy się to działo w biednym dworku Zeńczewskiego, w paradnej karczmie u Froima Dubieńczyka przed północą już pogaszono światła. Deszcz lał, wicher wył, podróżnych w taką noc spodziewać się nie podobna, pokładli się więc wszyscy spać wcześnie i pozamykali... ale stary Froim. któremu handel drzewny spać nie dawał, nie zmrużył jeszcze oka... wśród ciszy i nocy rachował...

Nagle. baczne jego ucho uderzyło coś jakby bardzo oddalony dźwięk pocztowego dzwonka, zwiastujący na prywatnych drogach urzędnika... Froim podniósł się na poduszkach i słuchał. Dzwonek parę razy brzęknął... ale nagle ustał... Stary żyd był pewny, że mu w uszach zadzwoniło, gdy zaczęto stukać do bramy... Dzwonka nie było. ale konie parskały.

Zerwał się wołając na myszurcia, aby poszedł zobaczyć, kto się do wrót dobija, a sam jako pilny gospodarz zarzucił chałat, żeby być w pogotowiu.

Rozpalono przygaszony ogień, i świecę w latarni, w chwilkę wysoki, barczysty mężczyzna wszedł do izby... obejrzał się i skinął na Froima. Żyd nie poznał go... ale zobaczył palce na ustach... i na kołnierzu oznakę oficerską. Skłonił się nizko.

— Chodź do alkierza! — zawołał przybyły... — zamknąć wrota stajni, niech koni nie wyprzęgają, zarzucić im siana.

Dopiero teraz Froim po głosie więcej, niż z twarzy zakrytej, dopatrzył Szuwały sprawnika... dreszcze po nim poszły. Wiedział że nocna podróż tak ważnego urzędnika nie jest bez kozery...

Weszli do alkierza. Sprawnik nie zrzucił płaszcza ani czapki.

— Słuchaj Froim... my nie od dziś znajomi — ja tobie ufam — rzekł powoli — służyłeś nieraz rządowi i rząd ci się wypłacał... prawda?

— No, co to gadać— odparł stary żyd — każdy powinien służyć swojemu rządowi, u nas to stoi w biblii napisano.

— Możesz mnie i rządowi oddać wielką przysługę, ale milczeć jak grób.

— Albo to żyd kiedy co wydał?—odparł Froim.

— Jest spisek straszny uknuty przeciw rządowi i carowi. Znowu się Polaczki ruszają na swoją zgubę. Ich emigracja rozsyła po kraju buntować...

pełno tych łotrów naplynęło. Żyje stary Zeńczewski? Jeszcze go diabli nie wzięli?

Żyd posłyszawszy to nazwisko pobladł i zmieniła mu się twarz... wyraźnie się nastraszył; ale odpowiedział wolno:

— Nu, żyje! jakie tam życie! on kona powoli...

— Gdyby zdechł stary łotr, nie byłoby wielkiej szkody. Ale są poszlaki, że ten synalek jego kochany, pan Paweł się tu kręci. Ja go sam dziś na moje oczy widziałem — ale licho mnie zaślepiło... nie poznałem go, nie schwyciłem.,. do stu tysięcy diablów. On tu albo jest... albo będzie lada chwila.

Żyd stał jak rażony piorunem.

— Jasny panie pułkowniku — rzekł po chwili przychodząc do siebie — on tu nie może być... Nikt nie przyjechał do samej nocy. Nie można wsunąć się do wioski nie minąwszy karczmy, żywej duszy nie przybyło do poźna...

— Właśnie... on nie zna dróg i ścieżek?...

— Ale piechotoby nie przybył.

— Kto go wie?

— Nie, to nie może być — dodał żyd.

— Która godzina? — spytał sprawnik.

— Jeszcze północy nie ma, pierwsze kury nie piały.

Pułkownik dobył swego zegarka...

— Jest jedynasta. Nie mógłbyś pójść do Zeńczewskiego pod jakim pozorem?

— O tej godzinie — zawołał żyd.

— Pojechać i napaść na dwór nocą nie wiedząc czy on tam jest... znowu na mnie cały powiat krzyczeć będzie, że ja starego katuję i dobijam przez zemstę... A w dodatku Pawełby zwietrzył... Co tu zrobić?

Żyd się zamyślił:

— Słuchaj pan — zawolał nagle... — ja jestem stary... nie bardzo zdrów, noc... pies zły... ale co robić? Jasny pułkownik wie, że ja dla rządu gotów wszystko zrobić... ja pójdę... On był chory... dowiem się jak jemu jest...

Sprawnik się zawahał.

— Idź. ale tak aby ludzie nie wiedzieli, dokąd i po co poszedłeś. Cicho! Każ samowar dla mnie nastawić, a sam się wymknij... dam ci żandarma.

— A mnie na co? — oburzył się Froim — a waj! żeby mnie kto z nim widział. To nie może być...

Stało się jak ułożono. Sura nastawiła samowar dla pułkownika, żołnierzom wyniesiono wódki, a stary Froim cichaczem, furtką tylną wysunął się z domu.

Ale zaledwie znalazł się na podwórzu i płocie żyd załamał ręce i stanął... zdawał się namyślać

głęboko, westchnął i ruszył żywo za wieś znajomemi sobie ścieżynkami.

Chata Zeńczewskiego znajdowała się na drugim końcu osady, odosobniona... i dobry kawał ujść trzeba było po śliskiem błocie, dopóki się jej dobiło. Słota i kałuże czyniły tę podróż trudną nawet dla młodszego człowieka, ale Froim jakby go co pędziło, leciał krokiem gorączkowym. O wnijściu na dziedziniec myśleć nawet nie było można... dla psa zjadłego. Stary żyd znając dobrze miejsce, poszedł po za płotami, okrążył zabudowanie i stanął pod oknem alkierza oświeconem nieco, przez ktore w głąb domu zajrzeć było można. Światło wewnątrz o tej godzinie już coś niezwyczajnego zapowiadało.

Żyd przytulił głowę do szyby, i gdy oczy z blaskiem oswoił, rozeznał wyraźnie siedzącego w pośrodku pierwszej izby Pawła... Nie poznał zrazu ale się go mógł domyśleć. Któżby tam był o tej porze jeźli nie on?

Przeszedł potem do drugiego okna od pierwszego pokoju i ztąd wyraźniej jeszcze dojrzał pannę Różę i mężczyznę siedzącego przy łóżku starca. Załamał ręce stary i począł drzeć. Stał tak chwilę, a ktoby był mógł dojrzeć powiek starego, zobaczyłby łzy na nich... na twarzy wyraz politowania i zdumienia.

Wahał się długo, co począć... milczący przechodził z okna do okna... W tem panna Róża wyszła z pokoju... ze świecą, przypomniała ona sobie, że w spiżarni była resztka wina, którem chciała Pawła pokrzepić... Okno spiżarni niczaszklone, żelazna tylko krata dzieliła od podwórza. Posuwające się światło prowadziło starego Froima, który podszedł do nizkiego zakratowanego otworu w spiżarni. Nie było ani chwili do stracenia... panna Róża dobywała butelki, gdy stary żyd zawołał: — Nie lękaj się panna... dwa słowa...

Mimo to Róża krzyknęła, ale poznawszy głos Froima przyszła do siebie.

Szybko, wyraźnie półgłosem Froim odezwał się do niej:

— Sprawnik z żandarmami u mnie... wie o panu Pawle... do rana ja go strzymam... ale niech ucieka... niech ucieka i śladu po nim żeby nie było... niech ucieka. Słyszysz waćpanna i rozumiesz.

— A! słyszę i umieram ze strachu.

Żyda już nie było.

Sprawnik pił pierwszą szklankę herbaty, gdy Froim zbłocony, zmęczony, wzdychając powrócił.

— Byłeś tam?

— Byłem.

— Jest?

— Jeszcze go niema... stary bardzo chory... ale pytałem sługi, wczoraj ani dziś nikogo nie widzieli... W domu nie ma chleba kawałka.

— Niech zdéchają! — zawołał sprawnik — to kara Boża... to palec Boży! Nie chcieli zięcia prawosławnego, mają nieprzyjaciela... Zabili uporem dziewczynę, struli mi życie... dobrze tak...

Froim milczał... Sprawnik się przechadzał.

— Słuchaj — rzekł — jeźli go nie było dotąd, będzie wprędce. Co tu począć? Mnie jego schwytać trzeba! ja go mieć muszę... a on Olszowa nie minie; czekać tu z żandarmami— zwącha bestja.

Arendarz milczał.

— Tybyś mógł najłatwiej wiedzieć i dać znać.

— Jaśnie pułkowniku — odparł żyd — nim ja dam znać, on ma czekać? A czy oni mi zawierzą, żeby się przedemną nie kryli? Ja robię co mogę... ale nie podejmę się czego nie potrafię.

— Czyj dworek naprzeciwko Zeńczewskiego?

— Nie ma żadnego... Stoi przecie w gołem polu.

Sprawnik zadumał się... nieufnie jakoś spojrzał na żyda.

— Wszak to tu — rzekł — okupił część Sowietnik Pratulec...

— Ale nie mieszka — odparł Froim.

— Skaranie Boże! — wykrzyknął Sprawnik — Nu... posłać mi siana, zobaczymy do ranka...

Dzień już był wielki, gdy pułkownik przebudziwszy się, wypiwszy herbatę, kazał konie zaprządz i niedowierzając żyda roztropności, postanowił sam napaść na dworek. Żandarmów i chłopów wyprawił, aby dokoła obsaczyli tę, jak ją nazywał, wilczą jamę, a sam z chmurną twarzą siadł na bryczkę i hałaśliwie zajechał w podwórze. Ale oprócz psa, który wył w progu, nikt się wywołany najazdem nie pokazał.

Pułkownik Szuwała wyskoczył i otworzył drzwi pierwszej izby... ale zamiast iść dalej... stanął zdrętwiały na progu.

Niezwyczajny widok go raził...

W środku izby ustawiony był tapczan, okryty kilimkiem wytartym... obok na łożu w białej koszuli leżał trup starca z krzyżykiem w skostniałych rękach, panna Róża i Pryska stara płacząc unosiły prześcieradło, usiłując ciało przesunąć na tapczan.

Oczy sprawnika padły na twarz zmarłego i jak wkute w nią nie mogły się od niej oderwać. Oblicze to było takie, z jakiem świętych pańskich i błogosławionych malują, wypogodzone, jasne, dziwnie piękne i łagodne. Zdawał się usypiać i marzyć o niebie.

Jakkolwiek mściwy i gniewny, wobec niespodzianej tej śmierci pułkownik osłupiał, zmieszał się, uczuł złamanym... mimowolnie przypomniał sobie tego dobrego starca... godziny spędzone w jego domu... córkę jego, swe nadzieje... jej zgon... i w tej przynajmniej chwili — stał się człowiekiem... Skłonił głowę — zapomniał o zemście.

— Stary umarł! kiedy?— spytał płaczącą pannę Różę.

— Dziś — w nocy...

— Chorował?

— Od dawna... ale skonał spokojnie... nad rankiem przybył ksiądz...

— Był ksiądz?

— Tylko co odjechał...

— Czy po północy zachorował?

— Nie było nic... zdawał się jak zawsze — odparła panna Róża — ale sam w sobie śmierć poczuł... i księdza zażądał.

Sprawnik stanął wpatrując się w trupa.

— Niech żyd mówi co chce — rzekł w duchu — on tu był... to jego dzieło... ja to wiem...

Nie śmiał jednak rozpocząć badania... Na stoliku przy łóżku... oko jego baczne dostrzegło kupkę złota. Były to luidory przywiezione przez Pawła a rzucone niebacznie... Zbliżył się do nich.

— Skarzyliście się na nędzę — zawołał — ale widzę będzie za co pochować... hę?

Panna Róża, która była upuściła prześcieradło, zapłonęła cała i zmieszała się.

— To... to stary... był oddawna schował na pogrzeb...

Sprawnik się uśmiechnął, natura wracała, wrażenie trupa już było zatarte, występował policjant. Zbliżył się i począł po jednemu rozpatrywać luidory.

— A no... prawda że dawno musiał chować — dodał szydersko — bo oto jeden jak z pod stępla z 1838 roku.

Panna Róża o mało nie padła.

— Nie wiem zkąd i co to może być — rzekła.

— Pani nie wiesz?— odparł zimno pułkownik— to ja pani powiem. Dzisiejszej nocy był tu pan Paweł Zeńczewski... on te pieniądze zostawił... a ojciec ze wzruszenia umarł.

Panna Róża oniemiała... w głowie jej splątało

się wszystko... łzy trysnęły z pod powiek... oburzona wskazała na trupa.

— Jeźliś człowiek pułkowniku — zawołała — szanuj te zwłoki i majestat śmierci... bo kobiéty biednej nie poszanujesz pewnie. Nie wiem nic... a mój obowiązek... tu!

Wskazała na łoże i odwróciła się od niego.

Z zimną krwią pułkownik przeliczył luidory, zgarnął je i schował do kieszeni.

— To ślad zbiega i szubienicznika— zawołał — pójdzie do śledztwa... słyszysz pani... spełniam obowiązek, nie biorę dla siebie... sprawa rządowa.

Ale panna Róża nie słyszała już nic... płakała klęcząc przy łóżku...

Sprawnik ostawiwszy dworek, siadł na bryczkę i popędził.

Dotychczasowe poszukiwania emissarjusza, którego pobytu w kraju Szuwała był pewnym, spełzły wszakże na niczem — rachuba i roztropność nakazywały milczeć o powziętych poszlakach. Sprawnik rozesławszy swoich szpiegów po powiecie powrócił chmurny nazajutrz do stolicy, zastał bułanego rysaka w stajni, zapewnił Paramina, że bądź co bądź on nigdy do żadnej odpowiedzialności pociągniętym być nie może, nakazał mu milczenie i począł głowę łamać, jak Pawła Zeńczewskiego pochwycić.

Wiedział on bardzo dobrze, iż rzecz nie była łatwą, rachował że w jego powiecie długo znajdować się nie może, a stał o to wielce, żeby wpadł w jego ręce. Moralnie był najmocniej przekonanym iż go widział, i że w Olszowie musieli znajdować się razem. Nie mógł żyda posądzić o zdradę, ale sobie wyrzucał, że natychmiast wprost, przybywszy na miejsce, do dworku nie zajechał.

Na pogrzeb starego pilne miał oko, uwięzić

kazał natychmiast pannę Różę i posadził ją w prawosławnym monasterze; Pryskę wsadzono do turmy i na majątek pozostały nałożono sekwestr.

Ale o Pawle... nie było ani słychu...

Tymczasem z Kijowa i Żytomierza szły jedne po drugich pisma sekretne, rozkazujące nadzwyczajną baczność.

W całym powiecie powznoszono na nowo upadłe rogatki, porozstawiano straże włościańskie, nakazano karczmarzom największą baczność na przejeżdżających, i codziennie prawie aresztowano po kilka osób najniewinniejszych.

Włościanie stojący na straży, nie umiejąc czytać ani pisać, puszczali tymczasem każdego, kto mógł się złożyć jakimkolwiek papierem z pieczęcią, tak dalece że niekiedy porządny arkusz papieru od świec stearynowych ułatwił przejazd wybornie. Ale wszystko drżało... dwory noc i dzień narażone były na napaści i rewizye drobnych urzędników, a najlżejsze podejrzenie... o zamożność starczyło do nabycia kłopotu i kosztów. Rozumie się, iż gorliwsi i chcący się zasłużyć rządowi chwytali i pakowali do kozy — kto się nawinął.

Temu wzburzeniu naturalnie towarzyszyły przy braku wiadomości wiarogodnych najniedorzeczniejsze wieści. Wymieniano nazwiska osób najzna-

komitszych, wciągniętych do spisku i jakoby uwięzionych w Petersburgu, Kijowie, na prowincyach. Popłoch był powszechny. Po dworkach zakopywano książki zakazane, palono papiery, skrywano starą broń pamiątkową, bo każdy się mógł rewizyi spodziewać.

Pewnem jednak było, iż na ślady jakiegoś spisku trafiono... że coś stać się musiało.

Od tego wieczora nieszczęsnego, w którym sekretarz tak drogo opłacone spokojem wziął dwie dwuzłotówki i jednego całkowitego rubla... ani on, ani pułkownik Paramin, ani sprawnik Szuwała nie mieli chwili swobodnej.

Sekretarz czuł, że się to w ostatecznym razie skrupi na jego skórze. Paramin mimo bnłanego rysaka niepokoił się o swoją dolę... a Szuwała pałał razem i upragnieniem zemsty i chęcią emerytowania się przed rządem. Złapanie emissarjusza co najmniej musiało przynieść krzyż, podziękowanie, a kto wie czy nie świetny awans. Szuwała miał wprawdzie nad wszystko droższy krzyż św. Jerzego jeszcze z wojny tureckiej, Annę na szpadzie, Włodzimierza w pętlicy, a Stanisława na szyi; ale cóż to było w porównaniu do konstellowanych piersi tych szczęśliwych ludzi... którzy nierównie mniej mieli zasług a więcej protekcyi! Szuwała miał wiele ambicyi.

Paramin nie sięgał tak wysoko nadziejami... on lubił żyć, jemu szło o to, aby mu nie zbywało na wygodach, a do tego niema jak policmajstrowstwo w małem miasteczku. Wszystkie sklepy otwarte, każdy interes opłaca się groszem i w naturze. Stracić taką posadę... i to jeszcze w powiecie, który niedaleko będąc położonym granicy zajmował się kontrabandą, a poszukiwanie jej, sama groźba... tak doskonałym była interesem.

Dla Paramina strata mniejsca... była groźbą okrutną. Sekretarz także miał w perspektywie sąd, degradacją... ruinę... Kto wie? może proste sołdaty! Trwoga panowała w kancelarji. Rozumie się, że od tego dnia żaden podróżny przepuszczonym nie był bez najściślejszego śledztwa; zdala naglądano na dom Nysonowiczów, a Icek rozmyślał nawet, czyby mu nie wygodniej było wynieść się do ojczyzny swej — Dubna?

Jednakże po za temi kołami urzędowemi o historji zegarmistrza mniemanego nikt prawie nie wiedział, bo i żydzi o niej milczeli i reszta osób wmieszanych rada była zapomnieć. Sprawnik tylko czuwał — ale niestety — napróżno. Przetrząsł on wszystkie spisy obywateli podejrzanych... porozsyłał żydków... nigdzie o żadnym obcym człowieku nic się dowiedzieć nie było można.. po wsiach szlachta w ogóle i dla tego popłochu

i z powodu tak złych dróg, iż sławnej grobli na Czortku nikt nie ugrzęznąwszy nie przebył, siedziała przyczajona po dworkach.

Ale umysł tak czynny i niespokojny jak Szuwały dotychczasowem niepowodzeniem zrazić się nie mógł. Jak kanclerz Gorczakow mówił o Moskwie, że siły zbiera (elle se recueille), tak on powiedzieć mógł o sobie... że namyślał się... pracował, przygotowywał... Ale na nieszczęście żadna jasna idea nie zabłysła mu w mózgu; najczęściej bowiem gdy człowiek ją szuka usilnie, znaleść nie może. Nie przychodzi ona nigdy na zawołanie.

Jedynym przyjacielem i powiernikiem tego nieszczęśliwego sprawnika, któremu taka cudowna zręczność zyskania nowej dekoracyi z rąk się wymykała, był niejaki Pratulec mający, jak wiemy, cząstkę w Olszowie.

Innocenty Afanasowicz Pratulec rodem był małorosjanin, z tego zakąta uprzywilejowanego za Dnieprem, który tyle wydał znakomitych urzędników. Miał on ten przymiot, wszystkim współziomkom swym właściwy, że potrafił robić równie dobrze swoje interesa u rządu, i rządowe dla siebie, i obywateli z rządem i wszystkich świętych z nieświętymi. U niego zawsze wilk był syty a koza jeźli nie cała, to przynajmniej żywa. Kieszeń zaś jego bądź co bądź wypełniała się przy każdej

sposobności. Pratulec, który już był i policmajstrem i sprawnikiem (nie licząc, że w stopniu kapitana wyszedł z piechoty jako ranny i protegowany przez komitet inwalidów), byłby może służył dłużej choć nieco kulał, ale go spotkało nieszczęście — coś, gdzieś w jakichś rachunkach zabrakło, poszedł pod śledztwo, okazało się, że był jak dziecię nowonarodzone niewinnym, bo podkomendny jego (który nagle zmarł w więzieniu) popełnił nadużycie... wszelako oddalono go ze służby. Ożenił się potem z córką duchownego, nabył znaczną część Olszowa i zajmował się niby gospodarstwem. W istocie majątteczek swój puścił w dzierżawę, a sam lubiąc wesołe towarzystwo zamieszkiwał w Dubnie.

Pratulec był dobry, słodki, grzeczny, wesoł w towarzystwie... pokorny... i z Szuwałą oddawna w najściślejszych stosunkach.

Los nadarzył, iż dla majątkowej sprawy przybył do miasta i odwiedził sprawnika... starym obyczajem. Zastawszy go smutnym, że byli sami, począł go badać.

— Co tobie jest?

— Co mi jest?... Mnie żywcem diabli biorą — rzekł mu Szuwała — posłuchaj... i opowiedział mu całe zdarzenie.

Pratulec był człek praktyczny, bardzo rozsądny, bywalec... zamyślił się.

— Wiesz ty co? — rzekł — czasem i taka rada jak moja nie zawadzi... mówili mi zawsze że ja mam nos. Ja tu w tym kraju służę oddawna, znam ich jak rude myszy. Ja tobie coś powiem.

— A no mów — rzekł wzdychając sprawnik.

— Prosta rzecz: albo on tu się kryje w twoim powiecie, albo poszedł dalej biedy szukać. Jeżeli jest, to nigdzie tylko na Polesiu! To kraj zapadły, tam się skryć najłatwiej.

— A coby tam robił?

— Naprzód może się przechować przez ten czas niepokoju, bo wie, że u nas nigdy nic nie trwa długo. Za kilka miesięcy rogatki spalą na drwa a ludziom się sprzykrzy stać na straży. Drapnie w biały dzień. Powtóre, gdzież łatwiej i kogo bałamucić, jak tych poleszuków, którzy o bożym świecie nie wiedzą? Ja ci mówię, jeźli on tu jest, to na Polesiu. Dla czegożbyś ty nie objechał sobie powiatu... ot tak z grzeczności. Ja nie wiem, jak tam teraz u was, ale za moich czasów bywało, gdy urzędnik do obywatela przybył, najlepsze wino na stół, koniom owsa co wlezie, a wyjeżdżając zawsze się coś oberwało. Mało— wiele każdy dał, aby się do niego nie czepiać.

Jużbyś na tem nie stracił, żebyś objazd taki po błocie zrobił. A od czego konie pocztowe i pieniądze podróżne? Grosza kosztować to nie będzie i wywdzięczy się pewnie.

Kto wie, możesz dostać języka lub jeszcze go gdzie spotkać? Ludzi weź sprytnych, niech po dworach i po wsiach rozpytują: Kto bywa, gości, z kim stosunki... czy wiele listów odbierają itp. Człowiek się więcej nauczy takim objazdem, niż rok siedząc w domu. Weź z sobą kancelistę a nieglupiego.

— Rada doprawdy nie zła — rzekł Szuwała — kto wie może za nią pójdę... ale bryczek nałamię.

— Gdyby tyle biedy — odparł śmiejąc się chytrze Pratulec—a to błogosławieństwo Boże bryczkę złamać... bo ci bądź co bądź nową dać muszą. Ja tak koczyk zyskałem, którym do tej pory jeżdżę. Złamała mi się najtyczanka stara... przywlokłem się na drągu do Dąbrowicy. Stary hrabia chciał mi pożyczyć bryczki... ja prosiłem by ją odstąpił i musiał koczobryk darować. Jeszcze posłałem potem po moją starzyznę i odzyskałem ją napowrót naprawioną.

Sprawnik westchnął.

— Kiedy to powiadam ci — odezwał się — jak tylko trzy lata pokoju a odetchnie ta szlachta,

tak butnieje, że gotowa skarzyć na nas. Porobią stosunki z gubernatorami i nosy drą do góry.

— Ależ właśnie teraz drżą wszyscy... gdzie im ochota przyjdzie do skargi... dziś ich można dopiero pociągnąć.

— Ha no, popróbujemy.

— Tylko słuchaj pułkowniku... jak w najzapadlejsze kąty, po takich wsiach, do których się dostać najtrudniej; nie zważaj na drogi... i dotrzyj gdzie jeszcze nie bywałeś... rozumiesz...

Szuwała zmilczał, potrząsł głową, widać było że rozumna rada przyjaciela poszła mu do serca, rozmyślał nad jej wykonaniem.

Jakoż nazajutrz pocztowemi końmi wyruszył na objazd powiatu.

Błogosławione zaprawdę te zakąty kraju, do których w pewne roku pory zwłaszcza nie może łatwo dostać się moskiewski urzędnik. Mają one wprawdzie rozsadzonych po miasteczkach assesorów i wójtów po wioskach, ale się to powoli obywa z mieszkańcami, rozleniwia i nic dokucza. Wreście niektóre osady są tak odległe, błotami i lasami ufortyfikowane, że do nich nawet najbliższa władza nie łatwo i nie często się dostaje. Któż nie zna tego kraju jeszcze skazanego na żywot prastarych czasów, pustelniczego odosobnienia, a szczęśliwego z samotności, bo ją ona broni od częstszego stykania się z żywiołem moskiewskim, drapieżnym i burzącym. Bory, zarośla, trzęsawiska, błota, porozlewane strumienie, groble bez mostów, wydmy piaszczyste... ogromne przestrzenie bezludne otaczają nieliczne, zwykle wielkie osady, jak grzyby czarne siedzące w piasku. Są wioski, których mieszkańcy jak dzicy ludzie uciekają na widok bryczki i podróżnego. Gdybyśmy tego na

oczy własne nic oglądali, trudnoby było uwierzyć. Instynkt zachowawczy w każdym przybyszu wskazuje im Moskala, a od jego napadu najbezpieczniej ratować się ucieczką.

Widok zapadłego Polesia zwłaszcza jesienią jest najsmutniejszy w świecie. Czarne lasy sosnowe, suchą żółtą trawą a raczej wiszarem porosłe łąki błotniste, gdzieniegdzie trzciny nad stawami, lub pola rzadkim ściernicm okryte... na pół wyrąbane bory, spalone młode zapusty sterczące suchemi gałęźmi, nad tem wszystkiem niebo szare, i stada kruków krzykliwe.

Ale przejechawszy mil parę takim krajem a raczej pustynią taką, z radością i zdumieniem wita się wioskę i dwór często bardzo porządny. Takim właśnie był nowy dom w Radziszewie nad Stérem, w zapadłym Polesia kącie, dziedzictwo pana podsędka Jagłowskiego; odwieczna rodziny siedziba, rozległa majętność, której obszar liczył się na sceiny włók, ale w istocie nie wiele czynił dochodu, oprócz z lasów niedorębanych i kilku karczem. Rolnictwo nie bardzo się tu wiodło, wymagałoby było niezmiernych nakładów, a szanowny podsędek, człek starej daty, ciągnął grosz z majątku, ale miał za zasadę nigdy go weń nic wkładać.

Podsędek Jagłowski był szlachcicem z wychowania, rodu, usposobienia, nałogu, a choć wiekiem nie tak podeszły, umysłem i charakterem mógł za antyk uchodzić. Chodził był niegdyś do szkół w Romanowic u księży Jezuitów, potem coś trochę skosztował Krzemieńca, był gorącym patrjotą, obywatelskiego ducha miał wielc, zresztą lubił żyć, bawić się i jak najmniej pracować. Kochano go w obywatelstwic niezmiernie, a dom jego słynął z gościnności. Żonaty wcześnie Jagłowski stracił był żonę, została mu córka jedynaczka... Ona też i ciocia Izabella składały cały dom jego. Jedynaczka wychowywała się po troszę na pensyi we Lwowie, trochę w domu, a od lat kilku micszkała z ojcem i była nowym elementem atrakcyjnym dla Radziszcwa. Panna piękna, wykształcona, śmiała, miła, uprzejma, majętna... nęciła młodzież poleską, i co było antinousów, zdobywszy się w Dubnie na nowe fraki i czamarki (które za Mikołaja zakazanc nie były) płynęło do Radziszewa. Dom był i tak pełen gości a rezydentów, bo poczciwy podsędek obejść się bez ludzi nie mógł — teraz młodzież pomnożyła towarzystwo. Żyło się tu nie wykwintnie, ale dostatnio, ochoczo i bez wielkiej cercmonii.

Wprawdzic panna Celina (zwała się bowiem tem imicniem narzuconem przez ojca jako wspo-

mnienie z poczyi Ludwika Kropińskiego), panna Celina była o wiele wyższą umysłem od tego, co ją otaczało (nie wyjmując rodzica), ale umiała się pogodzić z tym światem, nad którym górowała. Jej to Radziszew był winien wybudowanie ładnego nowego domu, przyozdobienie go wewnętrzne, wprowadzenie gazet i książek do niego, fortepianu, muzyki, założenie ogrodu w brzozowym gaju i tysiące znakomitych ulepszeń.

Celina bowiem miała gusta pańskie a charakter nieco romansowy, który zawdzięczała życiu w książkach i dumaniach, początkowemu wychowaniu, wreszcie wrodzonym usposobieniom.

Była młodą i piękną, nie klasycznych rysów zapewne, ale świeżą, ożywioną, wyrazistego wejrzenia i fizjognomii szlachetności pełnej. Czoło nadewszystko i oczy zdobiły tę twarz często do zbytku poważną i zamyśloną... rozmarzoną powiedzieć trzeba raczej.

Czy w snach swych wyśniła sobie bohatera, nie wiemy, ale że młodzież otaczającą dosyć sobie lekceważyła, było widocznem. To też panicze jeden po drugim spróbowawszy jej towarzystwa... wynosili się jak oparzeni. Dla jednych była za wielka pani, dla drugich nadto filozofka. Każdy się zląkł i wymykał. Panna Celina bynajmniej się tem nie

frasowała... wiedziała że gdy zechce, pójdzie za mąż i jak zechce, tymczasem nic było jej wcale pilno... marzyła. Ciocia pobożna, gospodarna, miłująca siostrzenicę, suszyła gruszki, smażyła agrest, robiła pierniki i odmawiała litanie nie wdając się w gospodarstwo serca Cesi.

Ojciec też rad był, że się nic spieszyła... było mu z nią w domu weselej... a potroszę czuł, że Celinka czegoś więcej wartą była, niż się dotąd trafialo.

Dom jak mówiliśmy, stał otworem, a choć kąt był zapadły, nigdy nic zabrakło gości. Podsędek miał ten zwyczaj, że nie puszczał jednych. póki się drugich na wymianę nie doczekał.

I tym razem nie było pusto w Radziszewie. Bawili w nim, oprócz rezydentów, o których niżej — pan Załowiccki z Dubieńskiego powiatu, pan Rabczyński z Kowieńskiego i pan Pawłowski z Dubieńskiego także.

Dwaj pierwsi byli to starzy przyjaciele i znajomi podsędka, ludzie jego wieku, zapamiętali wiściarze, Załowicki dodatkowo zagorzały patrjota i polityk. Nic było od kilkudziesięciu lat jednego spisku, do któregoby mniej więcej nie należał lub choć nie był wtajemniczony. Uchodziło mu to płazem, nie wiem jakim cudem. Rabczyński oprócz

tego, że grał w wista doskonale, jadł dobrze i opowiadał wesołe anegdotki odwieczne, odleżałe... ale dosyć zabawnie—nie miał w sobie nic szczególnego.

Pan Pawłowski, którego z sobą przywiózł współobywatel, i jak mówił sąsiad jego Załowicki, po raz pierwszy znajdował się w Radziszewie.

Z postawy można go było zrazu posądzić, że przybył na odgłos wdzięków panny i nie bez intencji. Człowiek młody, bardzo przystojny, znakomicie wychowany, miły, oczytany, muzykalny podobał się nawet pannie Celinie.

Twarz jego miała wyraz smutny i poważny, oczy czarne, ogniste, pełne były myśli i uczucia, uśmiechał się rzadko... Nosił żałobę i mówił, że niedawno ojca utracił, co tłumaczyło smutek jego, ale nic uniewinnić nie mogło jego obojętności dla tak ślicznej panny, od której zdawał się jakby umyślnie unikać. O ile panna Celina sama szukała jego towarzystwa, o tyle on był chłodnym, usuwającym się od bliższej znajomości... ostrożnym prawie. Pannę to tem więcej intrygowało, że młody mężczyzna, wyraźną mający wyższość nad tymi, których znała i widywała, dość się jej podobał. Jako jedynaczka i nawykła do posłuszeństwa nie dała też panu Pawłowskiemu emancypo-

wać się i wzięła go szturmem trzeciego dnia... tak że cały wieczór musiał z nią na rozmowie przepędzić.

Trzeci to już bowiem dzień bawił ów pan Pawłowski w Radziszewie.

Czwartego dnia pochmurnym rankiem wszedł do pokoiku Pawłowskiego na dole od sieni, przyjaciel jego Załowicki, który stał osobno z Rabczyńskim.

— Słuchajno panie... jakie ci mam dać imię?

— Jakie chcesz byle nie moje?

— No to cię nazwę Celinjuszem chyba. bo wczoraj...

— Ale zlituj się! nie żartuj ze mnie — ofuknął Pawłowski.

— Nie o tem mowa, to między nawiasami — dodał siadając na łóżku Załowicki. — Słyszałem że się sprawnik kręci po powiecie, i z Kolków żydek dał znać przez chłopa, że nocował tam, a ma na obiad tu przybyć... Co ty myślisz? Pawłowski, z Dubieńskiego powiatu... śmiało mu się postawić?

Pawłowski drgnął i pobladł.

— A! byłoby to bardzo łatwem, gdyby ten człowiek osobiście mnie nie znał i zajadle nie był mym wrogiem. Stare dzieje.

Załowicki podskoczył aż z łóżka.

— To nie ma co — zaprzęgać konie i jechać.

— Dowie się, że tu ktoś był i drapnął.

— Cóż się dowie? Załowicki i Pawłowski.

— Możemy jechać — odezwał się pierwszy — możemy nie jechać, ale to pewna, że on mnie widzieć nie powinien, i że jeźli mnie zobaczy... tom przepadł. Ja to nie — ale ze mną...

Załowicki spojrzał na zegarek, była dziesiąta przeszło.

— Do kaduka — zawołał — jechać byłoby najlepiej, ale zważ: ta bestja wyjechała z Kołków rano... jest na Radziszewskiej grobli pewnie, my tą samą groblą musimy wyjeżdżać, bo dwóch dróg do tej fortecy nie ma. Spotkamy go w drodze... gotów zatrzymać, bo teraz taki czas... no i...

— Jeźli tak, to muszę zostać — rzekł Pawłowski — ale mu się nie pokazywać...

— Czy zwierzyć wszystko gospodarzowi?

— Niech Bóg uchowa... nastraszylibyśmy go niepotrzebnie. Ja będę chory leżał cały dzień... ot, cała rzecz.

— Ale ci poczciwi ludzie ze swą gościnnością, troskliwością, gotowi zrobić jakie dzieciństwo?

— Bądź co bądź, innej rady nie ma — zawołał Pawłowski — idź wcześnie, uprzedź że mam go-

rączkę, ból głowy, co chcesz... i że potrzebuję wypocząć w łóżku...

Załowicki zafrasował się.

— No, tak — rzekł — wszystko to dobrze... ale jeźli temu djabłu przyjdzie co na myśl, jeźli się posunie aż do rewizyi domu?

— No... to wówczas ja sobie poradzę — rzekł stanowczo gość — bądźcie spokojni. Przyjmujcie go, upójcie, ugoście, nic zatrzymujcie na noc... nie dawaj poznać gospodarzom co się święci... a resztę polećmy Bogu.

To pewna — dodał Pawłowski stanowczo — że po wyjeździe sprawnika, i mnie tu w pół godziny nie będzie.

Domawiał tych wyrazów, gdy w dali na grobli dał się słyszeć ów straszliwy dzwon urzędniczy, na którego odgłos trzchleją wieśniacy.

Na długiej grobli błotnistej wiodącej do dworu widać już było z czterma w poręcz zaprzężonemi końmi ciągniętą bryczkę pana sprawnika.

Pawłowski rzucił się na łóżko, obwinął kołdrą i drzwi zamknąć kazał, a Załowicki poszedł do bawialnego pokoju oznajmić o jego chorobie.

Podsędek chodził już po saloniku zafrasowany, jak zawsze gdy miał policjanta lub urzędnika przyjmować.

— Niechby go tam diabli brali — szeptał —

dałbym mu chętnie pięćdziesiąt rubli, żeby mnie i Radziszew minął.

— Toć się go pozbędziecie — rzekł Załowicki — a tu jeszcze i Pawłowski nam ubędzie od towarzystwa, bo leży chory z diabelską migreną. Trzeba wiedzieć, że migreny ma takie, że ani gadać, ani jeść, ani ludzi znieść nie może.

— Otóż tobie masz, a ja na niego rachowałem, że go zabawi... Prawdziwe nieszczęście — zawołał gospodarz. — Trzeba wiedzieć co to Szuwała... nieprzyjaciel imienia polskiego, chytry... podły a kute licho... a tu przed nim trzeba udawać wiernopoddanych, kiedyby się i jego i jego rząd razem chciało...

— Cyt! cyt! nagotuj pięćdziesiąt rubli i każ dawać śniadanie, może nie zabawi do obiadu.

— Ale ba! to dzień feralny! nie zechce mu się w słotę dalej,.. ja się boję żeby nie nocował... I gdzie ja go postawię! Skaranie boże...

Gdy tak lamentowali w salonie... dzwonek złowrogi zbliżał się, tętnił, hałasował... coraz mocniej, coraz ostrzej, aż czwórka koni ziejących parą zatrzymała się przed gankiem.

Sprawnikowi towarzyszył sekretarz i do usług ten sam chłopak, który z dorożką stał przed domem policmajstra, gdy się tam pierwsza scena dramatu naszego odegrywała.

Nie ma na świecie bardziej upokarzającej roli nad obowiązek gospodarza wobec nienawistnego gościa, którego dla pewnych względów poszanować potrzeba... Podsędek wyszedł zmuszając się do uśmiechu, z rozradowaną twarzą, witać Szuwałę, zapewniając go, iż niezmiernie był zgryziony, że tak dawno jego wąsow nie oglądał, gdy w istocie klął w duszy natręta.

— Koniki do stajni! — zawołał. — Wyściskali się serdecznie i pułkownik w stroju podróżnym wszedł do salonu.

Tu już oczekiwał Załowicki i Rabczyński, a w dodatku kapitan Strzeżoga rezydent, niegdyś żołnierz napoleoński, z pokiereszowaną twarzą i legią honorową u surduta. Można sobie wystawić, jakie na nim Moskal wojskowy czynił wrażenie, dość powiedzieć, że był w pożarze Moskwy, pod Smoleńskiem i pod Borodino.

Sprawnik jednem wejrzeniem objął towarzystwo jakby kogo szukał, obejrzał się po kątach,

zdawał liczyć... przywitał grzecznie ale zimno i usiadł. Nie dano mu odpoczywać długo. Grześ w nowym szaraczkowym surducie z guzikami białemi nieposzlakowanej świeżości, wniósł tacę jedną, Antek drugą, Hanuśka trzecią... a gospodarz już ujął kieliszek i odetknął starkę.

Ale sprawnik obejrzawszy starannie pana Załowickiego, Rabczyńskiego i kapitana wciąż jeszcze kogoś szukał oczyma. Było to tak dalece widocznem, iż Załowicki musiał kichnąć, aby twarz zarumienioną niepokojem odwrócić.

— Pan dobrodziej z Kowieńskiego? — spytał Szuwała Rabczyńskiego.

— Tak jest panie pułkowniku...

— I panowie sobie tak jeżdżą z powiatu do powiatu... swobodnie? hę? a to teraz taki znowu zamęt, straże, rogatki... bez paszportu można się na nieprzyjemność narazić.

— Jakto mości dobrodzieju! — rzekł obrażony obywatel — ja mości bdzieju... znany jestem na dwadzieścia mil w koło... a mam też ten święty zwyczaj, że nigdy z domu nie ruszę bez dekretu heroldyjnego w kieszeni... to przecie za paszport stanie.

— Zapewne — rzekł, mierząc go oczyma Szuwała — ale zawsze paszport jest lepszy.

— Mój mości bdzieju — odparł Rabczyński — ja wam powiem jedną rzecz, że kto jedzie bez paszportu, ten ma pewnie sumienie czyste, a łotr mosanie opatrzy się zawsze... w papiery...

Pułkownik się uśmiechnął, zwracając do Żałowickiego.

— Czy i pan dobrodziej z dekretem jeździ?

— Nie, ja jeżdżę bez dekretu i bez paszportu, powiat sąsiedni, wszyscy mnie znają... a że nas nasz sąd powiatowy obficie darzy powistkami... pewnie w kieszeni się zawsze znajdzie jaki papier urzędowy do mnie adresowany, który osobistość moją poświadczy.

— Widzę że panowie chyba nie wiedzą, co się w kraju dzieje! — rzekł sprawnik.

— A cóż się dziać może?

— Nowe odkryto spiski... kłopotu mamy dosyć, kraj zalany emissarjuszami... a my...

Niedokończył sprawnik, gdyż właśnie na te jego wyrazy weszła panna Celina... usłyszała je... okiem rzuciła po salonie, nie znalazła w nim Pawłowskiego i coś tknęło ją w serce. Cała drżąca przywitała sprawnika, który na widok ślicznej panny zmiękł, ugrzeczniał i widocznie jakoś stał się bardziej człowiekiem. Szuwała znanym był z tego, iż miał słabość do płci pięknej, i ciężkie próby

przebył w życiu dając się chwytać pięknym oczom... z których potem czerpał tylko wzgardę.

Panna Celina zrobiła na nim wrażenie potężne... udobruchał się... przestał mówić... patrzał w nią jak w tęczę...

Ona za to ciągle na drzwi poglądała... jakby wyczekując kogoś jeszcze...

Załowicki, który odgadł, że może zapytać o Pawłowskiego, w śmiertelnej trwodze zbierał się ją odciągnąć pod jakimś pozorem na stronę, gdy Szuwała rozpoczął bardzo piękną francuzczyzną rozmowę z panną.

Zdziwiona tą umiejętnością panna Celina nieco grzeczniej mu odpowiadała, ale wstręt do Moskala mimo to nie dozwalał na dłuższą myśli i frazesów wymianę.

Wielki fizjognomista sprawnik, choć zajęty śniadaniem i rozmową, dostrzegł na twarzy pana Załowickiego jakiegoś niepokoju i w twarzy panny coś zwiastującego... oczekiwanie i zdziwienie. Nie spuszczał ich z oka... Parę razy chciał Załowicki dać znak pannie Celinie, ale spotkał wejrzenie Szuwały i postanowił losom powierzyć dalszy przebieg sprawy. Ale mimo siły, jaką miał nad sobą, rysy jego zdradzały, że wewnątrz drżał i marł z polkniętego strachu.

Na twarzy panny Celiny niepokój coraz się stawał wyraźniejszym... kilka razy otwierała już usta. Załowicki zagadywał.

Nieostrożny gospodarz tymczasem wyrwał się.

— Możeby co panu Pawłowskiemu posłać... kiedy...

— A cóż mu jest? — przerwała żywo panna.

— Od wczoraj, od wczoraj ma tę nieszczęśliwą migrenę, na którą okrutnie cierpi — podchwycił Załowicki... nic mu nie trzeba, tylko wyleżeć się spokojnie póki nie przejdzie.

Sprawnik drgnął.

— Dosyć, że u pana podsędka zawsze gości pełno — rzekł żywo.

— Ten gość to sąsiad pana Załowickiego — odezwał się gospodarz — Pawłowski z Dubieńskiego powiatu.

— Pawłowski — dodał sprawnik — jest ich tam kilku... znam niektórych... czy Ludwik czy Hieronim?

— Nie... Antoni... Antoni — żywo podchwycił Załowicki.

— Brat Ludwika?

Załowicki zagadnięty tak prędko, nieprzygotowany, zdradzał w odpowiedziach pewne pomieszanie, ale naprawił to śmiechem.

— Ani brat, ani swat, a nawet innych Pawłowskich — rzekł ruszając ramionami. — Ma koło mnie część wsi w Paminkowie. Służył w wojsku rosyjskiem.

Szuwała jakoś nspokojony mrwał na tem, a Załowicki począł zajadać szynkę tak, jakby od tygodnia nic nie miał w ustach.

W czasie tego badania o Pawłowskiego panna Celina bladła i czerwieniała... Szczęściem Szuwała sobie pomyślał:

— Gdyby był kto podejrzany... toby się gospodarz z nim nie wygadał.

Po śniadaniu co było robić? Sprawnik się nie wybierał... ustawiono stolik do wista, do którego zasiedli Szuwała, gospodarz, Załowicki i Rabczyński, ale jeden z nich wychodził. Napoleoński wiarus po śniadaniu poszedł zaraz do oficyny.

Panna Celina przechadzała się po salonie, gonioną oczyma sprawnika. Chociaż człek i mundur był dla niej wstrętliwy, nie powiemy aby wyraz uwielbienia, który w oczach jego czytała, był dla niej przykrym.

Tymczasem o trzy kroki ztamtąd, o ścianę, obwinięty kołdrą leżał na łóżku mniemany Pawłowski i jedną ręką ściskał paczkę z papierami, drugą rewolwer, który go nigdy nie opuszczał.

Mimo odwagi zimny pot oblewał mu skronie, słuchając rozmowy sługi i sekretarza, obok kłócących się w tym miłym języku moskiewskim, który na nas robi wrażenie brzęku kajdan i skrzypienia szubienicy.

Pod rozmaitemi pozorami sprawnik kilka razy w czasie gry wychodził, nawet raz omyłką otworzył był drzwi zostawione bez klucza do pokoju, w którym leżał Pawłowski... ale się zaraz cofnął. Przymknięta okiennica nie dawała nic dojrzeć... ale to poszukiwanie jakiegoś wyjścia mogło nie być przypadkowem. Szczęściem że Załowicki siedział przy kartach wówczas, i sprawnik go nie widział, boby się z bladej twarzy domyślił czegoś, tak jak się domyśliła panna Celina.

Miała ona już pewne jakieś przeczucia i podejrzenia, że młody ów człowiek nie był tym, za kogo się podawał... tknęło ją to, że na przybycie sprawnika zasłabł... imaginacya i wspomnienie emissaryuszów dopełniło reszty...

Cały dramat zarysował się w jej rozgorączkowanej głowie i sercu. Serce to biło... chciała mieć jakiś udział w tem... niepokoiła się, marzyła... Tymczasem wejście sprawnika, którego poznał z pod kołdry Pawłowski, nabawiło go

trwogą, nie o siebie ale o papiery. Był zdecydowany strzelić a potem sobie życie odebrać, ale co było zrobić z papierami, których zniszczyć nie chciał i nie mógł?

Szuwała mógł go poznać, mógł się domyśleć, a mając najlżejsze podejrzenie udawać obojętność, pókiby nie ściągnął żandarmów.

Myśl ta tem mocniej się wbiła w głowę nieszczęśliwego, że Szuwała wyszedłszy po raz drugi rozmawiał coś po cichu z sekretarzem i wysłał go niewiadomo dokąd.

Paweł był prawie pewien, iż nie wyjdzie cało... ale papiery! O życie mu nie szło wcale, tylko o spełnienie tego, co za najświętszy obowiązek uważał...

Drżąc rachował i myślał... komu je oddać. Załowicki był najpoczciwszym człowiekiem ale słabym, tracił przytomność w tych właśnie razach, w których człowiek najwięcej jej potrzebuje. Gospodarza znał mało... Oczy Celiny migały przed nim, jej imię, jej postać... natrętnie mu się narzucały.

Serce mówiło: jej lub nikomu... Rozum odpowiadał: kobiéta—przeczucie na szalę rzucało... Polka i bohaterka...

— Jej lub nikomu! — powtórzył Paweł — ale jak? gdzie? jakim sposobem? Tymczasem upły-

wały godziny a niebezpieczeństwo zbliżać się zdawało...

Pokój w którym leżał, miał jedne drzwi od sieni, drugie zamknięte na klucz i zastawione komodą dzieliły go od pokoiku, poprzedzającego pomieszkanie cioci i Celiny.

Paweł począł od tego, iż od sieni się zamknął.

Wstał potem z łóżka po cichu, podsunął się pod drzwi zatarasowane i z uchem przyłożonem do nich... czekał...

Serce mu biło i skronie tętniały.

Usłyszał otwierające się drzwi od salonu, i szelest sukni... Zebrawszy się na odwagę, zapukał lekko...

Kroki stanęły... cisza.

Ale nuż to była ciotka?

Zapukał leciuteńko raz drugi.

Szelest sukni zwiastował, że ktoś się zbliżył do komody...

— Panno Celino — szepnął więzień — na miłość Boga...

Milczenie mu odpowiedziało zrazu, potem nie wiedział czemu przypisać, że się kroki oddaliły... panna Celina coś nuciła półgłosem... Wytłumaczył to sobie stuknięciem drzwi... od salonu... były bowiem niezamknięte... a sprawnik grający w wista

siedział o krok. W chwilę później uderzono zlekka we drzwi z drugiej strony.

— Słucham — rzekł głos cichy.

— Nie pytaj pani, nie dziw się, ale zaklinam... na imię Polski... na pół minuty widzieć się z nią muszę, nie ma chwili do stracenia.

— Otwórz drzwi... klucz jest w nich — odpowiedziano z cicha i nucono znowu.

Paweł nie bez trudności, usiłując jak najmniej robić hałasu, unosząc do góry, drzwi otworzył.

Po za komodą stała blada panna Celina.

— Na miłość Polski, weź pani te papiery, ukryj... albo ja... upomnę się o nie... lub... znajdziesz skazówkę, komu je oddać.

Dziewczę wyciągnęło rękę odważnie, rumieniec okrył jej twarz, pochwyciła paczkę i skinęła głową tylko, mówić nie mogła... Drzwi zamknęły się natychmiast... klucz obrócił a Paweł leżał rozgorączkowany w łóżku znowu, już tylko rewolwer jeden cisnąc w dłoni... Powoli twarz jego nabrała spokojniejszego wyrazu... oddechał; wiedział z pewnością, że polskie dziewczę umrze raczej niż ojczyznę zdradzi.

O pierwszej podano do stołu. Sprawnik jakoś się ani myślał wybierać, ale jak na sprawnika był w cale nie złym humorze. Rozpytywał o sąsiedztwo, o drogi, narzekał na obowiązki ciężkie i niemiłe, i francuzką rozmową bawił pannę Celinę.

Załowicki zgorszony tem mocno uważał, że zacna panna podsędkówna przy obiedzie nadto była uprzejmą dla Moskala, że mu się usmiechała nawet i zdawala bawić jego szwargotem.

Ojciec także dziwił się temu nie pomalu. znając usposobienie jej dla Moskali. Ale — myślał Załowicki — i diabeł kobiéty nie zrozumie... kobiéta kobietą, nawet Moskala musi kokietować.

Gdy się to dzieje przy stole, a podsędek nie żałując dolewa Szuwale wina, nieszczęśliwy Paweł męczy się pod kołdrą głodny i zniecierpliwiony. Oddanie papierów powróciło mu nieco spokoju, ale nie ustąpiła gorączka paląca od rana. Mniej dbały już o siebie Paweł posłyszał idących do stołu, zapewnił się, że sprawnik siedział przykuty

w jadalnym pokoju i zapomniawszy na niebezpieczeństwo grożące, zapragnął wypić szklankę wody. Pragnienie go paliło.

Znał dosyć dom, by przejść niepostrzeżonym do kredensu. Wahał się nieco zrazu, ale przemogła jakaś niecierpliwość młodzieńcza, wstał, otworzył drzwi, wyjrzał i skierował się śmiało ku kredensowi. Nie bawił tam długo, służący podał mu wodę zimną, ale tej chwili starczyło, by służący sprawnika, który stał z dorożką niegdyś przed domkiem policmajstra... zobaczył go i poznał. Szczęściem był to człowiek rzadkiej dyskrecyi i nader ograniczonego umysłu...

W dobrą godzinę po obiedzie, sprawnik z wciśniętą w rękę bardzo umiejętnie przez podsędka bonażką pięćdziesięciorublową, szczęśliwie nareszcie wyniósł się z Radziszewa.

Słysząc bryczkę jego oddalającą się od ganku Paweł odetchnął swobodniej, czuł że jego migrena przejść może i że zostanie oswobodzonym z więzienia, które go męczyło... W kwadrans po odjeździe wszedł Załowicki z miną tryumfującą ale ze śladami walki, którą przebył na twarzy nad wyraz zmęczonej.

— Teraz — rzekł — możesz wstać, ubrać się, powiemy że migrena przeszła, a że głodnym być

musisz... nakarmicmy cię nie obudzając żadnego podejrzenia.., bo pocóż gospodarz ma wiedzieć o tobie?

Paweł uśmiechnął się myśląc w duchu, że już ktoś więcej niż on, wiedział w tej chwili o nim... i losem jego troszczyć się musiał. Chciał wyjść, aby co najrychlej odebrać papiery, podziękować Celinie... pomówić z nią poufnie, zakląć o tajemnicę, wytłumaczyć się...

Począł się więc szybko ubierać.

— I konie każ zaprzęgnąć — rzekł do Załowickiego — bądź co bądź bezpieczniej jest ztąd uchodzić.

— A toż po co? — odezwał się przyjaciel — przeciw nocy po tych drogach poleskich tłue się niewiedzieć czego? Zlituj się... już ci teraz nigdzie na świecie bezpieczniej być nie może jak tu? Szuwała był... zrewidował nas, odjechał... Siedzisz jak u Boga za piecem... gdy na drodze a nuż go nam kaduk naniesie na kark?

— No, bądź co bądź, jabym się czuł bezpieczniejszym gdzie indziej i potrzebuję już jechać.

— Pojedziemy jutro do dnia — rzekł Załowieki.

Paweł nie sprzeciwiał się, sumienie tylko kazało mu uciekać z tego domu gościnnego, aby

mu z sobą nie przynieść kłopotu... ale... teraz... ta piękna a odważna Celina miała dlań urok nadzwyczajny, rad się był zbliżyć do niej... i choćby dłuższem wejrzeniem pożegnać ją na zawsze...

Ku wieczorowi uzdrowiony pan Paweł zjawił się nareszcie w salonie, poczciwy podsędek nic a nic się nie domyślał... Podano herbatę, złożył się wiseczek we trzech z dziadkiem, a pan Paweł dziękował opatrzności, że się będzie mógł przed panną Celiną wytłumaczyć.

Od wnijścia jego do pokoju, oczy córki gospodarza nie zeszły z niego, usta mu się uśmiechały, baczniejsze wejrzenie byłoby dostrzegło nadzwyczajnego ożywienia i jakby rozpromienienia dziewicy. Zdawała się oczekiwać tylko, aby zbliżył się do niej.

Paweł nie chcąc ściągnąć uwagi, kołował przy grających, zabawiał ciotkę, naostatek począł rozmowę z Celiną i oboje poszli przechadzać się po pokojach.

— Nie wiem jak mam panią przepraszać — odezwał się nareszcie młody człowiek — daruj mi pani zuchwalstwo... Nie szło tu o mnie, ale o stokroć nad życie moje i losy ważniejszą sprawę.

— Czy mam panu oddać papiery? — zapytała Celina.

— Jeźli je pani masz przy sobie.

— Wzięłam je po odjeździe sprawnika — odparła Celina — nie mów mi pan nic, nie tłumacz się, ja to winnam podziękować za zaufanie... A! nie wiesz pan, jak miło jest jednej z nas słabych istot. oddać choćby najmniejszą usługę tego rodzaju. Jestem dumną, żem się przydała choćby na chwilę do uspokojenia pana. Będzie to niedyskrecya zapewne korzystać z nieszczęścia i z trafu... pytać go... ale powiedz mi pan jedno tylko... Jesteś tym, za kogo cię przedstawiono... czy?

— Winienem pani całą prawdę — rzekł Paweł — jestem wygnańcem od 1832 r., za fałszywym paszportem w kraju, muszę się ukrywać, bom był sądzonym na śmierć i na Sybir. Jestem tą nieszczęśliwą ściganą istotą, która w pospolitym języku zowie się emissarjuszem.

Panna Celina załamała ręce — pobladła.

— Sądzony na śmierć! — powtórzyła cicho.

— Nie będę miał dla pani tajemnic — dodał z jakimś zapałem... sprawnik Szuwała zna mnie osobiście, nienawidzi od lat wielu... Starał się o moją siostrę, której myśmy mu nie dali... pragnie się pomścić... Dlatego byłem zmuszonym się ukryć.

— O mój Boże — tak pan się wydajesz młodym, a przez tyle przechodziłeś kolei.

— I tyle nędzy — dodał cicho Paweł — i tyle nieszczęść... Kilka dni temu z niebezpieczeństwem życia przedarłem się w te strony, gdzie mnie znają wszyscy... gdzie co chwila pochwycony być mogłem... aby raz jeszcze zobaczyć, uścisnąć starego ojca... i miałem to szczęście wziąć jego błogosławieństwo... a razem oddech uczuć ostatni, bo przy rozstaniu skonał na moich rękach...

Łza zaszkliła się w oku Pawła i panna Celina zapłakała z nim. Mimowolnie drżąca jej ręka chwyciła dłoń wygnańca i uścisnęła ją z uczuciem więcej niż siostrzynego współczucia.

Zamilkli na chwilę... rozmowa zwróciła się tęskna, serdeczna ku tym przedmiotom, które rozrzewniają, unoszą, idealizują chwilowo człowieka... Cóż dziwnego, że ta godzina spędzona na poufałych szeptach zbliżyła ich tak, związała, jakby od lat wielu byli... więcej niż siostrą i bratem... Biedny Paweł, który się bronił wszelkiemu uczuciu, mogącemu siły go pozbawić, okuć w kajdany i zrodzić nowe obowiązki, ani się spostrzegł, jak pociągniony ku serdecznemu dziewczęciu stracił swobodę... Godzina ta wyrokowała o ich życiu i losach... ale było coś tak smutnego w tej po-

czynającej się miłości, jakby w ślubie nad mogiłą!...

Nigdy jeszcze oboje szczęśliwszej nie przeżyli chwili, ani krótszego wieczora.

Wśród wielkiej rozmaitości egzemplarzy tej istoty, którą zowią człowiekiem, trafiają się doprawdy tak ciekawe i osobliwe, iż usprawiedliwiają najtroskliwsze studja... choćby były jak fiołki, nieporównywując... nizko w trawie zrosłe. Nikt by się pewnie nie spodziewał, żeby Wańka, deńszczyk sprawnika Szuwały, jego woźnica i sługa, należał do tych egzemplarzy rzadkich i oryginalnych. Tak jednak było w istocie. Wańka rodem ze smoleńskiej gubernii, niegdyś żołnierz (ale w czasie służby zajmował się szyciem i naprawą butów regimentu), był rzadkim człowiekiem. Poczciwe to było, usłużne, ciche, cierpliwe, ale naiwne do granicy, od której ten szacowny przymiot zaczyna zakrawać na głupotę.

Wańka nie pytany, nigdy nie mówił, nie śmiał poczynać sam, ale raz zagadnięty, był niewyczerpanym i wyśmienitym. Spiewał nawet, kiedy mu kazano. A był tak zawsze szczęśliwym i ze wszystkiego zadowolnionym, iż zniecierpliwić go lub

zasmucić, prawie się zdało niepodobieństwem.

Nie mówi się już o tem, iż był posłusznym nieograniczenie. Musiał sobie zapewne wyrozumować, iż za te czyny, które popełniał po ukazu, nie był ani przed Bogiem ani przed ludźmi odpowiedzialnym. Gdyby więc pan mu kazał ukraść, zabić, mordować, niechybnieby spełnił przykazanie. Serce miał dobre, ale wdrożony do karności nieraz siekł powierzonych swej rózdze winowajców bez litości, choć ich potem serdecznie żałował, leczył i cieszył.

Był to już człowiek tego rodzaju... czysty produkt cywilizacyi moskiewskiej... a nienajgorszy jeszcze. Trafiają się szkaradniejsze daleko.

Wańka miał serce, co nie wszystkim jest dano, trzymał jego uczucia w zawieszeniu, ale gdy mu było wolno, praktykował je.

Fizjognomja poczciwego Wańka była zwierciadłem duszy. Twarz miał bladą, szeroką, rozlaną, z mocno wystającemi policzkami, oczki małe niekiedy uśmiechające się, szare, usta szerokie, i mięsiste. nosek zadarty jakby przełamany i skromnie kryjący się wśród policzków. Nie był pięknym ale miał w sobie coś miłego... i niejedna rekrutka się w nim kochała. Nie ożenił się wszakże, i choć dość romansowego usposobienia, pozostał swobodnym. Wańka lubił wódkę, ale nie upijał

się też do utraty zmysłów nigdy, tylko do przyjemnego odurzenia.

Bryczka sprawnika to wpadała w kałuże bezdenne, to grzęznąc jednem kołem zdawała się już już wywracać, to się toczyła po zmokłych piaskach. Szuwała świstał. Mrok padał, byli dzięki koniom pocztowym o dwie mile od Radziszewa.

— No co, Wańka — odezwał się do niego sprawnik po kilkugodzinnem milczeniu — dobrze ciebie przyjęli w tym dworze? hę?

— A co... dobrze... co się nazywa, proszę pułkownika... Dali wódki com chciał, i flaszkę postawili przedemną, mięsa całą miskę... kołacza... Już to proszę pułkownika, bodaj to jeździć po powiecie! nigdzie człowiek tak się nie pożywi, jak u obywateli...

Sprawnik się rozśmiał.

— Nawet żyd w karczmie nie pożałuje... ale żyd to taki żydem. Ryby da albo masło z chlebem... i gotują nie do rzeczy.

— A ty lubisz jeść? — spytał Szuwała.

— Któżby, proszę pułkownika, jeść nie lubił? Człowiek już na to jest od pana Boga stworzony.

— Tylko na to? — zapytał pan.

— A no, jużcić i pić musi... to nie ma rady — rzekł Wańka.

— A dalej?

— A no, to i spać.

— I więcej nic...

— At! co to gadać! proszę pana pułkownika... ja tam nie wiem.. a to wiem, że najrozumniejszy człowiek na głodno głupieje.

Sprawnik się roześmiał.

— Cóż ty tam widział w tym dworze?

— A ba! — odparł Wańka — dwór co się zowie paradny... nawet w garderobie takie panny, że w mieście co podobnego widzieć trudno.

— Cóżeś ty się umizgał?

— Chowaj Boże... tam na Moskala, choćby i ze sprawnikiem przyjechał, żadna ani spojrzy... a jak do nich zagadać!

— Dużo ludzi?

— A moc.

Wańka urwał... a nagle dodał:

— Ale co ja proszę pana pułkownika tam osobliwszego widział.

— No cóż? — spytał pan bawiąc się widocznie tą rozmową.

— A to, nie wiem czy pan pamięta, jak to my byli u policmajstra, co to ja stałem z dorożką przed jego domem... co to tam przychodził jakiś niby Niemiec z paszportem.... a potem jego tak strasznie szukali... Ja wówczas tego Niemca dobrze widziałem.

— To i cóż?

— A teraz tom go zobaczył znowu tu... w Radziszewie... Jak państwo siedzieli u stołu, przychodził do kredensu wody się napić...

— Jakto? jesteś pewny? — zakrzyczał Szuwała.

— Ot to, proszę pułkownika, ja kogo raz w życiu zobaczę, to go do śmierci nie zapomnę, już taką mam naturę pamiętliwą.

— Jesteś pewny?

— Ale mówię...

Sprawnik jak piorunem rażony, nagle powstał na bryczce, twarz mu zapłonęła i zawołał na woźnicę ogromnym głosem, tak, aż bryczka się zatrzęsła:

— Stój!

Konie stanęły jak wryte.

Pułkownik podniosłszy się na nogi na bryczce drżący... zdawał się nie wiedzieć co robić... zmierzchało mocno...

— Głupcze... ośle... niegodziwcze! — zaryczał nagle — czemużeś natychmiast, tam, na miejscu, obaczywszy go, nie dał mi znać?

Wańka wielkie oczy wytrzeszczył, rękę podniósł, milczał.

— Alboż mnie pan pułkownik kazał albo mowił?

— Ale głowo bez mózgu... wiedziałeś, że tego człowieka szukali, że go ścigała policya... widzia-

Księgozbiór H. FILOCHOWSKICH.

łeś, że nie poszedł z nami do stołu, że się krył... jakżeś mógł być tak głupim i nie dał mi znać, nie tracąc chwili?

— Nu! proszę pana pułkownika, któż mógł wiedzieć, że to taki potrzebny człowiek? Myślałem sobie... a to zabawne... jego tam ze świecami szukali, a on tu sam się z nami zdybał. Ale co mnie do tego. Myślałem sobie... policmajster jego szukał... to co nam do policmajstrowych sztuk?

Szuwała już nie słuchał, bryczka stała. dał okrutnie pięścią w kark Wańce, który padł na siedzenie.

— Nuż mi teraz uciecze! — zawołał — Ale nie... nie! rachuje teraz na to, że mu się upiekło... niegodziwy, zaśnie spokojnie... wezmę go w łóżku... Odczepić dzwonek — dodał — zawracaj... w najbliższym dworze konie odmienim... do Radziszewa!

Była północ... w Radziszewie spało wszystko snem sprawiedliwych i znużonych — rozmarzony, szczęśliwy, kołysany uczuciami młodości, nieznanemi od dawna, biedny wygnaniec zasypiał także... Zmęczenie i wrażenie dnia tego pogrążyły go w tym śnie głębokim, odrętwiającym, który odbiera władzę i siły. Nawykły do czujności, do przebudzenia za najmniejszym szelestem, Paweł leżał obumarły... usta mu się uśmiechały do marzeń niebiańskich...

We dworze całym wszystko było uspione... jedna istota zaniepokojona, bezsenna... chodziła jeszcze po swojej izdebce z myślami, z uśmiechami, z przypuszczeniami przyszłości. Serce było szczęśliwe, a jednak jakieś dziwne przeczucie, trwoga miotały nią, niedozwalając nawet pomyśleć o spoczynku. Celina chodziła, stawała... uśmiechała się do siebie, przypominała rozmowę, powtarzała sobie słowa jego, i była bardzo szczęśliwą i niezmiernie przestraszoną.

Pierwszy to człowiek w życiu uczynił na niej tak głębokie wrażenie... widziała go wielkim, bohaterem, męczennikiem, i chciała duchem dorosnąć do niego, ofiarą mu sprostać.

W pośród tych marzeń, wśród niczem niezakłóconej ciszy... coś jakby daleki szmer obiło się o jej uszy... stanęła, uderzyło serce... czekała...

Szmer... jakby chód tajemniczy, jakby szeptanie stłumione... zdawało się dom otaczać... parę razy coś szczęknęło złowrogo... Celina rzuciła się, zgasiła światło... w mgnieniu oka odgadła jakieś niebezpieczeństwo i myśl jej natychmiast pobiegła do tych drzwi... które sąsiedni pokój dzieliły od sypialni Pawła...

Z ostrożnością przytuliwszy oczy do szyby okna, które nie było zasłonięte okiennicą, dopatrzyła po chwili snujące się i podkradające w podwórzu cienie. Jasnowidzeniem odgadła w nich żołnierzy, sprawnika — pogoń.

Na palcach nie tracąc przytomności wysunęła się ze swego pokoju... bądź co bądź należało nieszczęśliwego ocalić od śmierci. Jak? tego nie wiedziała sama, ale gotową była dać życie... wybiegła do tych drzwi... i poczęła pukać nieśmiało.

Na nieszczęście Paweł spał snem kamiennym.

Po kilku próbach bezskutecznych, coraz szybszych, lękając się stracić czas drogi lub być usły-

szaną, bez zastanowienia przez bawialny pokój wpadła do sieni, z sieni do łóżka Pawła. On spał... Porwała go za rękę... przerażony chwycił rewolwer... ale uczuł dłoń, która mu padła na usta.

— Milcz... wstawaj... uchodź pan... nie ma chwili do stracenia... dom otoczony...

Paweł jakby cudem odzyskał przytomność, narzucił na siebie suknię milczący, chwycił papiery i broń... drżąca rączka wiodła go z sobą.

Przeszli salę... Paweł nie wiedział ani dokąd szedł, ani co się z nim działo. Celina prowadziła go spiesząc się, lecąc... W trzecim pokoju była na wypadek rabunku zrobiona mała kryjówka, do której wiodła podnosząca się blacha w kominie. Był to loszek ciemny, szczupły, wilgotny, w którym stała tylko szkatułka z papierami podsędka. W dwóch słowach wskazała mu ją Celina, otwarła... wepchnęła go niemal, zamknęła silnie i biegiem wróciła do swojego pokoju, rzucając się jak bezprzytomna pod kołdrę.

W sam czas, gdyż niemal w tej samej chwili do głównych drzwi dobijać się zaczęto... Powoli ludzie się budzili, słychać było kroki spieszne, bieganie, krzyki, stukanie drzwi i szczęk szabli i głosy gniewne i spór... i kłótnię żywą i przekleństwa... Jak długo trwało to wszystko, panna

Celina nie mogła obrachować... w trwodze tej każda chwila zdawała się wiekiem.

Teraz widocznie rozpoczynano jak najpilniejszą rewizję w całym domu... Od salonu wyraźnie dochodziły ją głosy wrzawliwe, płaczliwe, napastliwe, pokorne...

— Nie mógł uciec — wołał Szuwała — o! o! ostawiłem dom do koła wprzódy, żywa dusza się z niego nie wymknęła... to nie może być. Zrewiduję, zburzę... spalę dwór a znajdę...

— Ale panie pułkowniku— ozwał się gospodarz — nie przeczę, że niejaki Pawłowski nocował u mnie... czemuż nie mógł ujść posłyszawszy wprzódy od nas, że dom otaczają? Któż go wiedział, kto był, a myśmy go nie pilnowali.

— Nie mógł ujść — bijąc pięścią w stół wołał sprawnik... ja was wszystkich tu nauczę.., pójdziecie w kajdany! w Sybir... buntownicy! Rewidować dom... loch...

Otworzyły się drzwi do pokoju, który dzielił salon od mieszkania panny Celiny... Dziewczę powracając do siebie miało przytomność jeszcze dla złudzenia sprawnika, zwolna i cicho otworzyć okno...

Podsędek szczęściem to dostrzegł.

— Patrz że pan — zawołał — oto dowód... widzisz pan... okno otwarte... to oczywista rzecz...

Słysząc nadchodzących wybiegł ze swojego pokoju, gdzie miał zamkniętą okiennicę, i tędy się wymknął, nim rozstawiliście żołnierzy.

Szuwała stanął osłupiały z załamanemi rękami.

— Niech go jasne pioruny zatrzasną!—krzyknął— Żołnierze! w ogród, przetrząść budynki... Ja z sekretarzem zrewiduję dom.

— A! rewiduj... rewiduj! — rzekł rozgniewany podsędek... niech i ciebie pioruny zatrzasną.

Milczący, widocznie zrozpaczony tem oknem otwartem, więcej z obowiązku niż w nadziei znalezienia czegoś Szuwala wstrząsnął drzwiami od pokoju kobiét.

Dwa krzyki cioci i panny Celiny odpowiedziały na tę napaść.

Pułkownik zawstydził się, rzucił okiem, postrzegł kobiéty w łóżkach... obaczył, że drzwi do dalszych pokoi nie ma, i mrucząc zawrócił się.

Obeszli tak cały dom... kazał się Szuwała sprowadzić do lochów... i wrócił blady, rozwścieczony, zły...

— Tych panów — rzekł — nim się rzeczy wyjaśnią, aresztuję wszystkich... pojedziecie ze mną... wyprowadzimy śledztwo... Jeźli więzień ujdzie, któż za to odpokutuje?

Nikt mu na to nic odpowiedział.

— Pana Załowickiego związać — dodał Szuwała — on tu go przywiózł, wiedział co robił i kto on był... czy kto kradnie czy przechowuje, wina jedna. Sybir czeka waćpana.

Załowicki blady jak trup, pół omdlały... stał z głową spuszczoną...

Sprawnik przed kilku godzinami dosyć grzeczny, jak na sprawnika, teraz się stał prawie dzikim...

Napawał się strachem swych więźniów, swoją potęgą i znęcał urągając nad nimi. Teraz on tu był panem i władzcą.

Jeźli wam przyjdzie mierzyć rozum człowieka, jego zdolności, naukę... mierzcie ją sobie czem wam się podoba, ale charakter i szlachetność niczem się ocenić nie dają, jednem tylko obejściem się z nieszczęśliwszymi i słabszymi. Okrucieństwo, urągowisko, nadużycie siły względem słabych, a upodlenie przed mocniejszymi są najlepszą oznaką nikczemnego człowieka.

Takim się okazał pan pułkownik Sznwała w Radziszewie, a złość jego potęgowała jeszcze myśl, że mu się znowu nienawistny ów wróg wymknąć potrafił. Wiadomo że za Mikołaja — ba i dzisiaj, złapanie lub poszlakowanie w czyimś domu zbiega, emissarjusza, emigranta, człowieka podejrzanego, wkłada taką winę na ukrywających go, jakiejby podlegał sam przestępca. Nie dość na tem, prawo moskiewskie nie wyłącza nikogo od obowiązku doniesienia rządowi i wydania przestępcy politycznego, choćby on był ojcem, synem, mężem, bratem.

Ojciec, który nie wydał syna, jest karanym za niego, dziecię co nie zdradzi rodziców, uważa się za winowajcę. Gdzie takie zasady w prawie publicznem strwożony despotyzm zapisał, tam się dziwować nie można powszechnej kraju demoralizacyi i wszystkim podłościom, jakich się ludzie dopuszczają; tam nie istnieje rodzina, nie uniewinnia miłość, nie wiąże krew i wdzięczność. Car po nad wszystko! Nigdy w narodzie chrześciańskim dalej nie posunięto zaparcia nauki Chrystusowej... a te zasady znajdziecie w katechizmie o czci cesarza wszech Rosyi.

Pułkownik, który był wychowańcem Mikołaja, żył zasadami temi, dla niego więc Radziszew poszlakowany o polityczne przestępstwo już był skazanym, a mieszkańcy jego... od tej chwili liczyli się za więźniów turemnych.

Był więc panem na skonfiskowanem już w myśli majątku... rozglądał się tylko, co przed konfiskatą miał dla siebie wyłączyć.

Leżał na kanapie podparty... nie patrząc nawet na stojących przed nim, na pół odzianych panów podsędka, Załowickiego i Rabczyńskiego. Sekretarz przywołany stał czekając na rozkazy. Po chwili sprawnik się odezwał:

— Naprzód Załowickiego związanego weźmiesz waćpan i odwiczicsz do turmy... rozumiesz... Konie

i bryczkę zabrać ztąd... dwóch ludzi ze wsi na wartowników. W drodze żeby mi z nikim nie gadał. Odebrać mu pieniądze... obchodzić się jak najsurowiej. W pół godziny żebyście byli w drodze. Jeźliby uciekać zamierzał, pal mu w łeb.

Załowicki stał blady i drżący.

— Ale panie pułkowniku — rzekł głosem słabym.

— Poszedł precz! nie gadać nic, wygadasz się przed komisyą.

Sekretarz i żandarm stojący u drzwi porwali go i wypchnęli za próg, sami z nim idąc.

Szuwała spojrzał na Rabczyńskiego, który milczał.

— Żandarma! — zawołał — Drugi powiezie na osobnej bryczce tego jegomości... w godzinę później. Ja sam pojadę z gospodarzem.

Gdzie waćpana papiery? — spytał.

— Jakie papiery? — odezwał się spokojnie podsędek.

— Wszystkie jakie masz.

— Szukaj ich sobie i bierz — mruknął stary padając na krzesło — ja papierów prócz ekonomicznych i prawnych nie mam.

— Zobaczemy.

Rabczyńskiego pociągnięto w drugą stronę.

W saloniku został się Szuwała rozwalony na kanapie i pogrążony w myślach podsędek... który słowa nie mówił. Sprawnik sapał ale powoli zdawało się, że przychodził nieco do siebie.

Przestraszone kobiéty ubrały się tymczasem. Celinie doniosły sługi, że jednych wywożono, drugich wywozić miano, że ojciec także uwięziony jechał do Łucka. Blada, drząca ale nie tracąc ani odwagi ani przytomności, weszła do salonu.

Sprawnik postrzegłszy ją, nieco się zmieszał, wstał milczący.

— Panie pułkowniku, na miłość Boga — odezwała się podchodząc do niego Celina — co się stało? co się to dzieje. Co ci panowie zawinili? mój ojciec?

— Ojciec wasz, ci panowie — rzekł sprawnik szydersko — niby to pani nie wiesz?

— Ale ja nie wiem o niczem?

Pułkownik głową poruszył ironicznie.

— Mieliście państwo niebezpiecznego gościa w domu, który zbiegł... a wy za niego pokutować będziecie...

— Ale myśmy go nie znali? niewiedzieliśmy kto był!...

— To się okaże przy śledztwie — rzekł zimno Szuwała.

Celina spojrzała na ojca, który siedział przybity i jak odrętwiały.

— Cóż winien mój ojciec? chciej się pan zastanowić. Podobnaż każdego co przyjeżdża, pytać o paszporta? Możnaż z fizjognomii zgadnąć, co kto ma w sercu?

Panie pułkowniku—odezwała się po chwili— ja ufam jego charakterowi, że mojego ojca ani obwinisz, ani go pociągniesz do odpowiedzialności.

— To nie odemnie zależy — rzekł pułkownik coraz chłodniej.

— Mój ojciec... się wytłumaczy.

— Zobaczemy.

Celina zbliżyła się do podsędka... oczy ich się spotkały, czy zrozumiał ją... niewiadomo, ale dał znak aby wyszła.

Dziewczę wysunęło się powoli.

— Panie pułkowniku — odezwał się wstając i zbliżając do niego podsędek — mówmy otwarcie. Daję panu słowo honoru, że tego pana nie znałem, że go widziałem po raz pierwszy i nie wiedziałem kim był... Na co mnie pan masz gubić...

— Panowie się sami gubicie...

— Cóż panu z tego przyjdzie, jeźli mnie potępisz...

— Co? siebie mniewinnię.

— Zdaje mi się, że za to mnie gubić nie potrzebujesz... Jeszcze raz, mówmy po ludzku.

Sprawnik z ukosa patrzył, ale nie protestował.

— Tysiąc rubli — szepnął podsędek.

Szuwała potrząsł głową.

— Półtora.

— Ja nie żyd, żebym się targował.

— Cóż każesz dać?

— Daj trzy... to cię oczyszczę...

— Nie mam ich gotowych...

— Słowo honoru.

— Półtora zaraz — rzekł wyjmując pieniądze z kieszeni podsędek... półtora za tydzień.

Szuwała nie odpowiedział nic, ale pieniądze schował do kieszeni.

— Zachoruj i kładź się w łóżko — rzekł — zostawię ci tylko żandarma... a każ mi konie dawać, ja jechać muszę.

Podsędek odetchnął... i gdy Celina weszła napowrót, wyczytała z jego twarzy, iż rzeczy stały lepiej.

Szuwała krzyczał tylko jeszcze głośniej, łajał, sprzeczał się pozornie z podsędkiem, który utrzymywał że był chory, klął, tupał, ludzi rozpędzał,

i po kilku godzinach tej komedyi, zostawiwszy żandarma w Radziszewie, sam jeszcze przedednem z kagańcem, wyjechał za więźniami do Łucka.

Podsędek błagał go za nimi, ale Szuwała ani słowa na to nie odpowiedział.

Noc to była pamiętna dla mieszkańców Radziszewa. Sprawnik jeszcze był na grobli, gdy Celina obawiająca się o więźnia swego w ciasnej kryjówce, z trwogą pobiegła klapę w kominie otworzyć.

Miała stoczek w ręku, okiennica była zasunięta, żandarm spał w przedpokoju podsędka. Nie miała czasu przyznać się przed ojcem. Z cicha usunąwszy klapę podniosła stoczek i zajrzała w kryjówkę... ale na dnie jej nic widać nie było. Lękała się, aby biedny Paweł dla braku powietrza nie omdlał.

Ciasne wschodki wiodły do tego loszku... nie słysząc głosu, nie dostrzegłszy więźnia... drżąca schodziła powoli rozglądając się... ale tu nie było nikogo... Kiedy i jak uszedł ztąd Paweł... przechodziło jej pojęcie.

Przez cały czas sprawnik siedział w pokoju obok... kręciło się pełno żandarmów, stróżów, wieśniaków, sług... Nic mogła nawet pojąć, którędy

uszedł... ale odetchnęła spokojniej prawie Bogu dziękując...

Obawiając się jeszcze, czy papierów jakich nie zostawił w swoim pokoju... pobiegła zobaczyć. Tu nowe ją czekało zdziwienie, sukni Pawła, jego rzeczy... które uciekając zostawił, nie było. Widocznie tedy w czasie zamętu, jaki w domu panował, odważny i zręczny młody człowiek wymknął się ze swej kryjówki, potrafił dostać do mieszkania, zebrać co się dało pochwycić, i uszedł korzystając z ciemności nocy.

Trudności wykonania były tak wielkie, że Celina nie mogła sobie wytłumaczyć, jak tego dokazać potrafił. Potrzeba było obejść cały dom niemal, wśród żandarmów dostać się do tej izdebki, i oknem zapewne, bo to zostało otworem, uchodzić. Wszystko to dowodziło przytomności, odwagi, zręczności niepospolitej.

Nie potrzebowała więc ani tłumaczyć się przed ojcem, ani mu nawet mówić o tem. Podsędek czując się w istocie znużonym i złamanym, kazał jej także odpocząć, wróciła więc do swego pokoiku... zamyślona, ale dziękując Bogu, że się jej przyczynić udało do ocalenia życia człowieckowi, dla którego czuła w sercu więcej niż przyjaźń i szacunek.

Przechodziła pokój dzielący salon od jej własnego, gdy na podłodze postrzegła kawałek papieru... Prawie machinalnie go podniosła... a wpatrując się dostrzegła na nim, widocznie pociemku ołówkiem, grubo, nakreślone słowa:

— Przebaczcie nieszczęśliwemu... niech wam będą dzięki... winienem wam życie... zedrzyjcie kartkę...

Celina żywo schowała ją za suknię... serce jej bić zaczęło, weszła do pokoiku i uklękła przed łóżkiem Bogu dziękować.

On był ocalony... ojciec o tyle spokojny o swój los, o ile nim być mógł w takiem położeniu... ale biedny Zalowicki i jego towarzysz... Jakie ich czekały wyroki? Zapłakała modląc się... biedna.

Kto spróbował polskich dróg jesienią, a lepiej jeszcze w wiosenne roztopy, ten może być pewnym, że go na świecie żadna podróż i żaden gościniec nie zdziwi i nie przestraszy. Drogi te nie wiele się różnią od wyschłych na pół łożysk potoków. Kamienie, dyle, korzenie, kałuże, przepaści, grzęzawice... znajdzie się tam wszystko, co tylko drogę czynić może nieprzebytą... a im ona jest bardziej uczęszczaną, tem gorszą. Koła głęboko ryjąc się wyrzynają rówczaki, które woda rozmywa... a każdy wóz unikając starych robi nowe, i w końcu gościniec ów zmienia się w niezgruntowane brózdy, między któremi sterczą bryły ziemi, gałęzie, chróst i połamane drągi, co niegdyś do ratowania z otchłani służyły. Taka grobla piekielna wiedzie zwykle do wysokiego, chwiejącego się, na palach cienkich wzniesionego mostku, pokrytego dylami nieprzytwierdzonemi najczęściej, tak, że koń który stąpi na końcu, może ciężarem swym podważyć i wyrwać bierwiono.

Wiele też z nich braknie... dziury je zastępują. Rumaki przeskakują te przeszkody, do których nawykły, i nie podnoszą uszów, aż przebywszy tę klawiaturę, której znają niebezpieczeństwa. Nie raz bowiem trafia się, że przyprzężkowy urwie się i na pale poleci. Niekiedy na starszych konie i bryczka się zapadają.

W gniewie naówczas podróżny, co się załamał, własnemi rękami most taki rozrzuca, a nieszczęśliwy potem następca musi jako tako łatać lub przez rów objeżdżać mostek...

Gościńce tego rodzaju pełne są niespodzianek, i nie dadzą pewno usnąć ani wędrowcowi ani woźnicy...

Podobną drogą wypadało powracać pułkownikowi Szuwale... Zbyt jednak ważne miał na głowie myśli, aby się przypatrywał... a prawdę rzekłszy, i nie czuł co się z nim działo.

Bryczka latała, tłukła go, rzucała, zapadała w doły, przechylała się; był pewnym, że urzędnika pierwszego w powiecie wywrócić przecie nie mogą. Ale stało się co innego.

Po przedzie jadący z kagańcem człowiek, znający doskonale tak zwane objazdzki. małe drożyny porobione wozami chłopskiemi dla uniknienia rozbitych grobel, poprowadził manowcami,

piaskami, które po deszczu, stosunkowo jeszcze wcale nie złą były drogą. Wiodła ona przez las sosnowy, pełen wybojów, korzeni, pni... małych brodów nie grzęzkich. Czterma końmi w poręcz dosyć się było trudno wywinąć.

Na skręcie... woźnica nieuważny o pień zawadził osią, konie szarpnęły, oś pękła, koło spadło... i pierwszy urzędnik w powiecie leżał na ziemi jak najostatniejszy z czynowników. Złość jego nie znała granic, klął woźnicę, sługę... łajał, klął, obiecywał pałki, więzienie... knuty, Syberją, ale to wszystko razem osi naprawić nie było w stanie. Zrozpaczony przewodnik, któremu słusznie należna część kułaków i połajań się dostała, chcąc zapewne odobruchać wściekłego, zaproponował, że go zaprowadzi do blizkiej w lesie karczemki na Rudkach, gdzie miał też być i kowal cygan... coby mógł oś naprawić...

Zostawując więc ludzi z bryczką połamaną w lesie, rad nie rad pułkownik pieszo wskazaną ścieżynką, mającą go wprost do pary wiorst odległej zaprowadzić karczemki... ruszył przeklinając...

Noc bardzo powoli ustępowała pierwszym dnia brzaskom... ledwie cokolwiek szarzać zaczynało. Właściwie nie był to nawet poranek, ale na rozjaśnionem niebie jesiennem, wszedł księżyc w

ostatniej kwadrze... on to nidlem światełkiem trochę pomrokę rozświecał.

Zadumany pułkownik, w zbłoconym płaszczu sam jeden szedł przez las... czekając rychło się li pokaże karczemka owa... obiecana.

Była to — jak sam przewodnik mówił — mała budka pachciarza, na rozdrożu niedaleko od Rudek mazurskich... ale zawsze choć dach, pod którym się było można przytulić, wiązka siana lub słomy, i nadzieja znalezienia kowala. Szuwała w głowie już rachował, czy lepiej było posłać po nową bryczkę i czekać na nią, lub batogiem i grozą przyspieszyć spojenie złamanej osi.

Wszystko to zależało wszakże od tego, co miał znaleźć w owej karczemce... na małej drożynie bocznej, wśród lasu, niewiele mogąc się spodziewać. Na traktach nie ma gospód paradnych, cóż dopiero w takim zakącie!

I trzebaż było nieszczęścia, żeby tu go spotkał ten wypadek!

Jak zwykle, gdy się nie wiedzie, gniew urzędnika na pierwszą przyczynę tych wszystkich wypadków, na niegodziwego emissarjusza, coraz rósł i zwiększał się co chwila... — No! jeźli się dostanie w moje ręce... no! — wołał — dam mu się za wszystko we znaki.

Szedł z głową przepełnioną najdziwniejszemi pomysłami, między innemi zrobienia natychmiast w lasach obławy na zbiega, jak się czasem trafia na rekrutów i więźniów... gdy w półmroku niedaleko ukazała się owa obiecana karczemka.

Sprawnik nie był pewien, czy ona czy inne jakie zabudowanie, gdyż wyglądała nadzwyczaj licho... ale zawsze było to mieszkanie ludzkie i w maleńkiem jego okienku już się nawet świeciło. Ludzie byli do dnia powstawali. Z komina gęsty dym czarny się wznosił.

Wśród olbrzymich sosen, otoczona kołkami oprowadzonym ogródkiem małym... stała budowelka drewniana, pod słomą, szczupła... a do koła niej jeszcze niższe chlewki i przybudówki. Nie była to karczemka zajezdna... bez szopy i wrót, widocznie składała się cała z mieszkania jednego... dwóch może izdebek i sieni dla kóz i kaczek... Sprawnik szukał już oczyma osady, kowala... ale tego do koła widać nie było. Strwożył się nieco, czy nie zabłądził... ale w każdym razie trzeba się było choć rozpytać.

Zastukał więc do drzwi sądząc, że są zamknięte, a w stukaniu jego można było poznać najstarszego urzędnika w powiecie, walił w małe drzwiczki po pańsku, jak ktoś co ma prawo nie prosić, ale kazać sobie otworzyć. Wewnątrz po-

wstał hałas i wrzawa, ktoś przybiegł do drzwi, i sprawnik ujrzał przed sobą wychudłego żyda w śmiertelnej koszuli, z obnażoną i rzemykami obwiązaną ręką, z przywiązanym na głowie przyborem modlitwy... który patrzał nań strwożony.

Chciał widocznie przebysza ofuknąć, ale wśród mroku ujrzawszy wysoką postać i mundur, strwożył się i zamilkł...

Sprawnik popchnąwszy go, wszedł do izby i na wysokim progu w nizkich drzwiach mocno się uderzył w uszak głową. Powiększyło to jego gniew jeszcze.

Izba karczemna, w której piecu i kominie razem właśnie rozpalono ogień, była mała, brudna, i nad wyraz nędzna. Stół ledwie ociosany, ławy pod ścianami, łóżko, kołyska, koza, różne sprzęty gospodarskie zajmowały ją prawie całą... trudno się było w niej obrócić. Dwie brudne żydówki z garnkami w rękach... i żyd, który wprowadził sprawnika, składali całą ludność.

Zaducha i woń cebuli, błota, smarowidła, starych kożuchów i czosnku... dusiła... Sprawnik porwał naprzód żyda za kołnierz...

— Ruszaj po kowala.

Żyd stał oslupiały. Rzadko mu się trafiało spotkać z urzędnikiem, nie pojmował ani tego obejścia się ani rozkazu. Zaczął krzyczeć, żydówki

zaczęły mu na różne głosy wtórować, bachory w kołyskach, za piecem poprzebudzane rozkrzyczały się tak, że na chwilę nic słychać nie było oprócz wrzawy.

Sprawnik byłby dobył szabli, ale niestety, w pospiechu zostawił ją na złamanej bryczce.

Żyd ochłonąwszy instynktywo zmiarkował, że osoba, która się tak porywała śmiało do niego, musiała mieć do tego prawo i siłę... spokorniał.

— Wiesz ty co to sprawnik? — zakrzyczał Szuwała — ja cię nauczę! Ja cię do turmy wpakuję i zgnijesz w niej... Idź po kowala...

Żydówka podskoczyła.

— A! jaśnie panie, on nie może iść, kiedy z panem Bogiem zaczął się modlić... ale ja idę... biegnę...

Pułkownik plunął ruszając ramionami. Obejrzał się po izbie, nie było kąta, gdzieby mógł siąść i spocząć... ale widać było drzwi do alkierza, w którym na stole paliła się świeczka.

Pułkownik wszedł do niego.

Na tapczaniku narzuconym garścią słomy, obwinięty w płaszcz, odwrócony twarzą do ściany, spał jakiś podróżny... Sprawnik oburzył się, że ktoś śmiał odpoczywać, gdy on nie miał gdzie usiąść — uderzył nogą spiącego.

Nie skutkowało to od razu, podróżny poruszył się tylko i zdawał się czegoś pod płaszczem szukać rękami. Sprawnik zawołał po rusku:

— Nu... wstawać!

Na ten głos nakazujący, człowiek obwinięty w płaszcz ruszył się ale nieco leniwo, począł rozwijać się zwolna... wnet jednak poskoczył niespodzianie, odchylił płaszcz szeroki i nim pułkownik miał czas przyjść do przytomności i strachu zarazem, silną dłonią pochwycił go za gardło.

Szuwała przy bladem świetle łojowej świeczki poznał dopiero dawno niewidzianą, ale dobrze sobie pamiętną twarz i rysy Pawła Zeńczewskiego i jego ogniste oczy wlepione w siebie.

Emissarjusz jedną ręką trzymał go za szyję i cisnął, a drugą podniosłszy rewolwer, przyłożył mu do piersi.

Szarpnął się pułkownik ale napróżno, silniejsza ręka trzymała go w żelaznym uścisku, a paszcza pistoletu dotykała munduru... bijące serce ją czuło... trwoga śmierci odbierała mu siłę. Nie miał broni... krzyknął o pomoc, ale wiedział dobrze, iż żydzi żadnej mu dać nie mogą. Gospodarz w śmiertelnej koszuli ukazał się wprawdzie w progu, ale podróżny krzyknął: Zamykaj drzwi, bo strzelę... niech nikt wchodzić nie śmie.—I drzwi w istocie piorunem się zamknęły, a cisza złowroga

śmierci zapanowała w karczemce. Słychać tylko było stłumione głosy i szamotanie się.

Paweł trzymał ciągle wyrywającego się sprawnika i coraz silniej dusił za gardło... twarz pułkownika zsiniała, oczy wychodziły na wierzch.

— Człowiecze nikczemny, istoto podła niegodna imienia ludzkiego — wołał Paweł przerywanem głosem — poleć duszę jeźli ją masz... szatanowi, któremu służyłeś za życia... bo cały i żyw ztąd nie wynijdziesz... Prześladowałeś siostrę, zatrułeś jej życie i doprowadziłeś ją do grobu, znęcałeś się nad starym, bezbronnym ojcem moim... zniszczyłeś nas, ścigasz mnie... zasadzasz się na życie moje... ale sam Bóg dał cię tu bezbronnego na karę w ręce te, które okuć tak pragnąłeś... przyszła chwila sprawiedliwości wymiaru... zginiesz!

Mówiąc to, miotał nim przestraszonym jak dzieckiem, chcąc go obalić... Sprawnik oderwać się nie mógł i nie śmiał... wyrywał się napróżno... słabo, bo czuł że rewolwer, który miał na piersiach, za najmniejszym ruchem mógł mu kulę posłać w serce... pochwycić go ręką nie śmiał, by śmierci nie przyspieszyć.

Na myśl mu tylko przyszło, że należało przydłużyć walkę jakimkolwiek kosztem, bo ludzie jego nadciągnąć mogli i położenie się zmienić, postanowił błagać ratunku.

— Pawle — zawołał — Pawle... zaklinam cię... ja pełniłem i pełnię powinność moją, ja na nią przysiągłem, jam nie winien, daruj mi życie... puść mnie... Ulituj się... nic ci nie zrobię... pójdziesz wolny... nie będę ścigał... daruj życie.

— Nie — krzyknął Paweł — nie, znam cię, nie wierzę... Gdybyś mnie przepuścił, będziesz innych ścigał i dręczył, dziki zwierz nie pozbywa się natury swojej... tyś do tego stworzony... Jeźli wierzysz w Boga... módl się... bo zginąć musisz... Mam sześć strzałów, a jeden z nich przeznaczony, żeby cię zgładził i oczyścił świat z potwory... Klęknij i módl się — podły!

Sprawnik upadł na kolana... modlitwa mogła go ocalić, ludzie nadciągnąć...

— Pawle, na cienie twej siostry cię zaklinam... przysięgam ci — porzucę ten kraj, służbę, wszystko. Co ci z tego przyjdzie, że mi życie odbierzesz? Ciebie będą potem szukać, ścigać, wezmą, pochwycą... ja cię puszczę... ja ułatwię ucieczkę... klnę się... na honor wojskowy... Pawle, na cienie twojego ojca...

Ale Paweł rozwścieklony jeszcze walką, puścić go nie chciał, rewolwer trzymał nad nim, choć ręka z gniewu i zmęczenia mu drgała... Szuwała poczuł, że nieprzyjaciel mięknie... podwoił modlitw i prośby.

— Jeszcze raz, przysięgam ci, pójdziesz cały... daruj mi życie... Słowo żołnierskie... Pawle... tyś człowiek...

Paweł słuchał, wzgarda odmalowała się na dumnej jego twarzy; puścił go nareście popchnąwszy tak, że runął na podłogę... ale rewolwer trzymał jeszcze chwilę podniesiony.

— Nie chcę się plamić bezecną krwią twoją — zawołał spuszczając broń — Żyj! zobaczę jak też spełnisz uroczystą przysięgę, co ci ocaliła życie. Ale pamiętaj! jeźli złamiesz przysięgę tę, jeźli ludziom wmięszanym w sprawę moją włos spadnie z głowy... jeźli będziesz śmiał prześladować Radziszew... choćbym ja miał zginąć... znajdzie się ktoś... co ci łeb roztrzaska... nie ja to inny... pamiętaj!

Gdy się pułkownik zbierał podnieść z podłogi poglądając jeszcze nieufnym wzrokiem na Pawła... głuchy szmer doszedł jego uszów, poznał a raczej domyślił się swoich ludzi przybywających z bryczką złamaną... chodziło może o jedną minutę, ażeby emissarjusz był schwytany i zemsta dopełniona... przysięga go nie wstrzymywała... począł dziękować, ażeby mu jeszcze nie dać odejść, gdyż Paweł płaszczem się owijał.

Nie dosłyszał on gwaru, ale rzuciwszy okiem na wyłękłego jeszcze, usiłującego podnieść się na

nogi, nie mówiąc nic, porzucił go w alkierzu a sam nie puszczając z rąk rewolweru, wyszedł powoli, zatrzaskując drzwi za sobą.

Na progu tylko rzucił mu jedno słowo ostatnie — Pamiętaj!

Szuwała odetchnął, czując się ocalony jakby cudem, całe znchwalstwo wróciło mu razem z gniewem, który z niego buchnął niepohamowany; podszedł ku drzwiom, drżący przykładając do nich ucho, wyczekał aż się Pawel kilka kroków oddali, potem dosłyszawszy wołanie Wańki, który wchodził do karczmy, owładnięty wściekłością, wypadł z alkierza krzycząc:

— Łapaj! łapajcie!

Jeszcze drugi raz nie powtórzył tego wyrazu, gdy z mroku błysnął strzał, i Szuwała trafiony w ramię, zachwiał się i padł zbroczony krwią we drzwiach, nagląc na ludzi... łapajcie go!

Ale Pawel z rewolwerem w ręku nieulękniony przeszedł zwolna wśród ludzi przestraszonych... i nim się ośmielili targnąć na niego, znikł wśród lasu.

Następstwa tych wypadków wkrótce aż nadto głośnemi stały się w całym powiecie. Sprawnika zawieziono do Łucka, a sztafetą raporta posłano do Kijowa i Żytomierza. Zjechała natychmiast wyznaczona komisya, pułkownik żandarmów, audytor wojenny itd.; przysłano z Dubna oddział piechoty w pomoc policyi i inwalidom, nakazano w części leśnej powiatu ogólne obławy... trwoga opanowała mieszkańców.

Szuwała był tylko lekko ranionym; zdobył on sobie w ten sposób nową dekorację, której pragnął, i pieniężne wynagrodzenie, a wprędce wylizawszy się z rany, z podwojoną gorliwością i zaciętością, choć rękę jeszcze nosił na bandażu, wyjechał znowu w powiat ścigać emissarjusza.

Napróżno rozważniejsi ludzie mu przedstawiali, że on nie mógł już dłużej ukrywać się w tym powiecie, w którym go tak poszukiwano, że musiał od dawna przejść w pińskie lub kowelskie lasy, lub przez wspólników został wywieziony za

granicę austryacką nie zbyt odległą, a do przejścia dosyć łatwą. Szuwala opierał się przy niezmordowanem tropieniu nieprzyjaciela, tłumacząc jakiemś przeczuciem, że go pochwycić musi.

Rana sowicie opłacona zdawała się go zresztą uwalniać od wszelkich dawnych zobowiązań, bo i podsędka, mimo dancj obietnicy, kazał przywieźć do miasteczka, i mnóstwo innych osób zamieszał do śledztwa pod różnemi pozorami.

Była to zbyt smaczna i łakoma gratka, ażeby jej zręczny czynownik nie zużytkował o ile się dała. Więzienia zapełniły się duchownymi. cywilnymi, szlachtą, żydami, osadnikami zamieszkałymi po lasach... w klasztorach pozabierano cele dla kobiét, bo i te od śledztwa nie były wolne.

Komisye na gruncie, zjazdy, dochodzenia. protokoły, rewizje, nic miały końca. Pijana policja ziemska od dworu do dworu jeździła odzierać.

Ale mimo tych obław, poszukiwań, straży, naznaczonej przez rząd nagrody pieniężnej, najmniejszego śladu emissarjusza od jego ucieczki z karczemki wytropić nie było podobna — jak w wodę wpadł.

Podsędek Jagłowski, którego mimo zaręczeń sprawnika przywieziono do Łucka i pod strażą, jako chorego, umieszczono tymczasowo w lazarecie wojskowym, siedział już w nim od dwóch tygodni.

Córki jego i cioci Izabelli nie wzięto dotąd, ale i im przyjemnej tej udzielono wiadomości, że się do śledztwa stawić będą musiały.

Panna Celina uprzedzając to wezwanie urzędowe, w celu starania się o uwolnienie ojca i postawienia sprawy jego na dobrej stopie — zdała gospodarstwo na ekonomów, a sama, zebrawszy pieniędzy ile tylko mogła, przybyła do miasteczka. Z wielkim kłopotem, zabiegami, i za niemałą każdorazową opłatą doszła do tego, że mogła przynajmniej wieczorami ojca widywać.

Mimo dosyć niebezpiecznego położenia, gdyż Jagłowski wiedział z góry, że w najszczęśliwszym razie mógł się spodziewać wygnania w głąb Rosyi, ani on ani córka nie stracili męztwa. Jagłowski ubolewał, że nie miał z kim grać w wista. Celina zdawała się dopiero wśród tych przeciwności nabywać hartu ducha i ochoty do życia... On obojętnym był, żartował sobie ze wszystkiego, a może czynił to, aby kochanemu dziécięciu dodać siły i odwagi, a skryć niepokój wewnętrzny. Oboje cieszyli się tem, że nieszczęśliwego skazanego nie pochwycono. Jagłowski więcej nad wszystko narzekał na zdzierstwo urzędników i stratę pieniężną, która była bardzo znaczna. W takich razach chciwość moskiewska nie zna miary. Wiedzą oni, że przy bezprawiu ogólnem, każdy z nich trzyma

życie i losy obwinionego w ręku, targują się więc o nie z cynizmem katów bez serca. Uniewinniony wychodzi z życiem wprawdzie ale odarty do koszuli. Podsędek mówiąc o tem, zwykł był dodawać:

— Ale niechby ich tam diabli brali, żebym przynajmniej miał z kim zagrać w wista wieczorem. Kabała mnie już znudziła.

Celina ażeby być bliżej wojskowego lazaretu, w którym siedział ojciec, najęła sobie mieszkanie na przedmieściu w małym dworku, którego jedną stronę zajmowała ona z ciotką, drugą właściciel. stary mieszczanin łucki. garbarz Maślanka.

Jesień już była bardzo późna. małe przymrozki z rana oznajmywały nadchodzącą tuż tuż zimę, pożądaną dla mieszkańców na wszelki sposób, bo ulice miała osuszyć i dowóz żywności uczynić łatwiejszym.

Panna Celina siedziała raz wieczorem z książką przy stoliczku. bo to był dzień, w którym do ojca pójść nie mogła. gdy do drzwi zapukano z lekka. Wkrótce potem wszedł ostrożnie, powoli oglądając się chłop w siermiędze, którego zrazu wzięła za posłańca z Radziszewa. Podeszła ku niemu. ale jakież było jej zadziwienie i trwoga razem. gdy wpatrując się w onicmialego dotąd człowieka.

poznała w nim... tak dobrze zachowane w pamięci rysy nieszczęśliwego emissaryusza.

Stał przed nią milczący, pomieszany, patrząc błagająco w oczy. W pierwszym momencie zabrakło jej wyrazu, usta zadrgały, załamała ręce. cofając się.

— Pan tutaj! tu! gdzie cię ścigają i szukają... kiedy cenę naznaczono na twoją głowę... O mój Boże! mój Boże! a jam się pocieszała już tą nadzieją, że im uszedłeś, że jesteś bezpieczny — za granicą...

Paweł westchnął...

— Pani droga — rzekł cicho, spuszczając oczy jak winowajca — byłbym może mógł wydobyć się z tej niewoli, ale obowiązek, który wziąłem na siebie, nie dopuszczał... posłannictwo niespełnione... drudzy są w większem odemnie niebezpieczeństwie i czekają pomocy. Musiałem zostać, aby innych ostrzedz, ocalić, ratować i sprawie świętej służyć. Życie moje oddawna złożyłem jej na ofiarę... zginę to zginę...

Celina z wyrazem błagania i najgorętszego współczucia pochwyciła go za rękę — ale Paweł uśmiechając się jakby zawstydzony usunął ją.

— A! pani — niewarta dłoń moja, żebyś jej dotknęła... zbrukana i namulona od pracy... ręka

chłopska. Mogliby po niej mnie poznać, gdybym miał białą i miększą.

— Ale jabym ją ucałowała—przerwała z ogniem Celina — bo to ręka święta... prawdziwego męczennika dla ojczyzny.

Paweł się obruszył.

— A! panno Celino — zawołał — nic godzi się tak ludziom głów zawracać. Jam jeszcze nie dokonał nic... wstydzę się, żem cierpiał za mało. A gdyby spełnienie obowiązku potrzebowało nagrody, wyrazy twe zapłaciłyby nawet śmierć męczeńską.

Celina się zapłoniła.

— Wyraz z ust moich — dodała tęskno i cicho — cóż dla was wart wyraz tych ust... uczucie tego serca i prośba gorąca... wszak błagam was napróżno, nie narażajcie się więcej — uchodźcie.

— O pani — zawołał Paweł — sama byś mną pogardziła, gdybym to uczynił. Nie wartbym był twojego współczucia. Przecież wyraz ten musi być najmilszym, najdroższym... kiedym tu się aż przedarł aby go usłyszeć.

Ostatnie słowa wyszeptał cicho.

Celinie oczy zaszły łzami. zmieszała się bardziej jeszcze, zarumieniła, ale wprędce znów uderzyło serce i pochwyciła namuloną rękę Pawła.

— Panie! dla mnie... ocal się... błagam. Ciebie szukają, znają... nie możesz nic zrobić. Słuchaj— mnie nikt nie posądzi, jam kobiéta, a przysięgam ci: pojadę, spełnię, oddam... zrobię co mi każesz.,. Pozwól mi się wyręczyć, będę szczęśliwą... podwójnie... Nic mi się nie stanie, będę ostrożną, przebiegłą, zobaczysz! oszukam ich... zdobędę się na siłę, męczarnią nie wymogą ze mnie słowa. Proszę cię... nie gub mnie gubiąc siebie.

To mówiąc zakryła oczy.

— Celino! pani — zawołał Paweł padając na kolana... klęczę aby ci podziękować za heroizm twój i za słowo, które mi dało jedyną w życiu szczęścia chwilę. Uczyniłbym co każesz, gdybym mógł i nie był związanym przysięgą, słowem, zaufaniem współbraci... Któż wie? Bogu się może podobać ocalić mnie, abym ci służył wiecznie, a jeźli mi przeznaczono zginąć, zachowasz ty jedna pamięć nieznanego ofiarnika. Raz jeszcze, przed tą czarną przepaścią, która kryje moją przyszłość, chciałem cię widzieć, i wyznać ci jak na spowiedzi, żeś mnie oczarowała... żem dla ciebie o mało nie osłabł w służbie ojczyzny... żem kochał cię i wielbił, i że po zgonie duch mój zostanie przy tobie.

Celina się rozpłakała... zamilkli.

— Nie, mój Pawle — rzekła drżącym głosem po chwili ocierając łzy — Bóg nie jest okrutnym... ty musisz być ocalonym, boś na to zasłużył swoją ofiarą. Ja to czuję... ja chcę... zobaczymy się wolni, znajdziemy się, by sobie podać ręce na resztę żywota.

To mówiąc podała mu dłoń, Paweł gorące do niej przyłożył usta... Celina się schyliła.

W tem ciocia Izabella ze Złotym Ołtarzykiem w ręku, z okularami na nosie, usłyszawszy szmer w pierwszym pokoju... wyszła na palcach wyjrzeć co się tam działo. I zdrętwiała spostrzegłszy chłopa... prostego chłopa w kożuchu i siermiędze... który całował rękę Celiny. Toby nic jeszcze było, ale może przez te okulary—fałszywe czy ze strachu—przywidziało się biednej cioci, że się zbliżyły ich twarze i usta... że ów chłop śmiał pocałować pannę podsędkównę.

Na widok takiej zgrozy, cioci Izabelli Złoty Ołtarzyk wypadł z rąk drżących, okulary stoczyły się na ziemię druzgocąc w drobne kawałki... krzyknęła i byłaby niezawodnie zemdlała, ale szczęściem kanapy blizko nie było, nie było krzesełka, na którebyupaść mogła... oparła się tylko o uszak wołając:

— O... na rany Chrystusowe!

Krzyk ten piskliwy mógł wszystkie sługi zwołać z całego domu, ściągnąć mieszkańców... Celina z przestrachem dała znak ręką Pawłowi, aby uchodził, a sama pobiegła co prędzej do ciotki, chwyciwszy wódkę kolońską.

— Na miłość Boga, ciociu, jeźli ci moje życie miłe... nie mów coś widziała! zaklinam... milcz! Tu nie było nikogo! nikogo!

Wkrótce po Celinie nadbiegły z garderoby dwie służące, ale panna im szybko wytłumaczyła, że ciocia idąc przez ciemny pokój uderzyła się w chorą nogę (tak przez eufemiją nazywały się cioci nagniotki).

W ten sposób wszystko się rychło w domu uspokoiło... sługi odeszły, panna Izabella usiadła na kanapie... a Cesia z wódką kolońską, bobrową essencyą i laurowemi kroplami około niej się krzątała. Nad wszystkie jednak te medykamenta lepiejby poskutkowało odkrycie strasznej tajemnicy, której powierzyć cioci nie było podobna. Ciocia najlepsza osoba w świecie, obawiała się wszystkiego i nie umiała utrzymać sekretu ani chwili.

— Ale cóż to było? co to było — moja najdroższa... zlituj się, powiedz mi, uspokój mnie. Na moje oczy widziałam, jak zbliżyłaś tak usta do jego twarzy. Któż to mógł być, coby miał prawo, coby śmiał... Cesiu! to coś okropnego... wyznaj

mi wszystko, ja nie powiem nikomu... Chłop! jużciż to nie mógł być prawdziwy chłop.

— Ciociu kochana uspokój się, nie mogę ci wyjawić tajemnicy, która nie jest moją — odpowiedziała Celina — ale mogę ci poprzysiądz. że ten jeden lub nikt mieć będzie rękę moją. bo ma serce moje.

Panna Izabella załamała ręce.

— Jezu Chryste! na rany pańskie! co ja słyszę! To wygląda jak romans francuzki... to do niczego niepodobne... intryga... sukmana... w głowie mi się nie może pomieścić... I ty — Cesin...

— Ciociu! nie pytaj o nic, a wierz mi, przerwała Celina — nie pytaj, bo mnie zgubisz, i nie posądzaj o złe, bom czysta i niewinna.

— Ale ojciec, ojciec w więzieniu, a ty...

Cesia wzdychając oczy spuściła.

— Tak, w tem jest wina — rzekła — ale nie stało się to z woli mojej. Nie mogę ci dziś odkryć tej tajemnicy... kiedyś się dowiesz o wszystkiem i uniewinnisz mnie.

Panna Izabella umilkła... ale pierwszą modlitwę, którą odmówiła pod wrażeniem tego wypadku, była koronka do Przemienienia Pańskiego.

Nazajutrz o szarej wieczornej godzinie sprawnik Szuwała powróciwszy z obiadu, który dawali dla niego dobrzy koledzy, winszując mu Włodzimierza na szyję, położył się był spocząć. Wino szampańskie, które zbytnio lubił, zawsze go czyniło sennym. Wańka miał ogólne, wiekuiste, raz na zawsze sobie udzielone rozporządzenie, ażeby w czasie snu pańskiego nie dopuszczać nikogo.

Teraz jak zwykle w podobnych wypadkach siedział na czatach w przedpokoju i rozrywał nudy czytaniem jednej z tych książeczek drzeworytami przyozdobionych, które stanowią jedyną moskiewską literaturę oryginalną... zwaną k r ó b k o w ą, bo ją po kraju w łubianych króbkach kramarze roznoszą.

Wiadomo, że szacowne te dla ludu powiastki, z podań jego zaczerpnięte, nawet drukowanemi nie są, ale ksylografowanemi, to jest wyrzynanemi na drzewie, jak najrzadsze stare druki nieruchome... Cała klasa rzemieślników z prapradziadów

zajmuje się nieforemnem tem rzezaniem drzeworytów i książeczek, i odciskaniem ich na najtańszej bibule, jaką sobie przysposobić może. Przez długi czas literatura ta, jakkolwiek lojalna bardzo, ale mogąca mieć wybryki niespodziane, uchodziła baczności cenzury, która jej nie kontrolowała... opatrzono się potem, że tam często mowa o carach i carewiczach... i że należy wejrzeć, jak się to tam dzieje. Poddano więc wszechmocnemu komitetowi i króbkową literaturę.

Wańka czytał właśnie o olbrzymie Obrze i o siedmiu carewiczach, którzy się z kolei wybierali przeciwko niemu, gdy wśród najbardziej zajmującego syllabizowania... otworzyły się drzwi z nieobyczajnym loskotem, pozwalającym się domyślać rangi pułkownikowskiej, (gdyż każdy czyn (ranga) inaczej drzwi otwiera) — i ukazała się twarz Pratulca, zarumieniona — niewiadomo, od wódki mocnej, czy od ostrego wiatru, czy od mocnej wódki z wiatrem ostrym. Schrypły nieco głos spytał:

— Jest pan w domu?

— Jest, ale odpoczywa — rzekł cicho Wańka, przykładem swym ucząc gościa, aby szanował sen sprawiedliwego.

— Odpoczywa! To nic!

Pratulec chciał wprost iść już, ale Wańka go powstrzymał, szeroką piersią broniąc drogiego spoczynku swego pana.

— Przepraszam jaśnie pana (właściwie po rusku wysoko urodzonego)... ale kiedy nie można to nie można.

— Kochanku, głupi jesteś — odpowiedział powolnie Pratulec. — Nie można, jeźli kto przyjdzie z pustą sprawą, nie mając co robić, ale ja mam ważne dzieło.

— Ale pan mnie potem wybije!

— Gdyby i wybił — kiedy dzieło ważne! rządowe... carskie... A ja ci ręczę, że ci nic nie będzie — puszczaj.

Wańka między carem a sprawnikiem wahał się jeszcze, gdyż car był daleki, a sprawnik za drzwiami, gdy z drugiego pokoju dał się słyszeć rozespany głos chrapliwy Sznwały.

— Stoś diablów... zjadł! Wańka, kogo tam już licho niesie, żebym tylko zadrzemał.

— Mnie, mnie — zawołał odpychając sługę Pratulec — ale mylisz się, bo nie diabli niosą.

Przyjaciel wszedł bez ceremonii. Sznwała leżał jeszcze na kanapie, na poduszce skórzanej, i oczy zaspane przecierał.

— Wańka — zakrzyczał żywo nie witając —

powiedz pannie Karolinie, żeby nam zrobiła ponczu... ale morskiego, jak to ona umie.

— No, no! ja do ciebie nie na poncz przyszedłem — ozwał się siadając przyjaciel — ja tu przybyłem z ważnem dziełem.

Szuwała ziewał jeszcze. Co za ważne dzieło? Chcesz już kogoś z Olszowa obedrzeć? hę?

— Nie... zobaczysz — rzekł Pratulec — ale najprzód pogadajmy po ludzku... ręka rękę myje...

Sprawnik spojrzał.

— Jeźli mnie się uda tobie tego łajdaka Pawła Zeńczewskiego dać w ręce... co za tę sztukę?

Tak zagadnięty pułkownik, popatrzył niedowierzająco.

— Już mnie go tak dawali nieraz... ale ba! on dawno umknął ztąd... musi być za granicą...

— A co mi dasz? — powtarzał Pratulec.

— Co ja ci mam dać? za co?

— No, po sprawiedliwości... ty znowu dostaniesz albo krzyż, albo rangę, albo pieniądze... a cóż ja?

— Co ja ci mam dać? przedstawię cię do nagrody jak denuncjanta... Ale to nie może być.

Pratulec ręce schował w kieszenie.

— To swoją drogą co rząd zapłaci — rzekł — a od ciebie też ja muszę wziąć... nie może być inaczej. Ty wiesz, że ja jestem twoim przyjacielem, ale darmo nie dam. Mnie wszystko jedno,

czy go ty weźmiesz sam, czy ucząstkowy assesor. Pojadę do asesora i weźmiemy go we dwóch, a on mi niczawodnie zapłaci.

— No, to bierz licho! gdzież on jest?

— Gdzie? mądryś! mów co dasz?— rzekł śmiejąc się Pratulec — przyjaźń dobra rzecz, ale ani z poklonu szuby nie uszyjesz, ani z pocałunków.

— Cóż ci mam dać? żydzie ty! — zawołał sprawnik.

— Żydzie! miejsza i o to... bośmy przyjaciele... Ależ przecie wziąłeś bulanego rysaka od policmajstra, żeby go nie gubić.

— To ci się go chce mi odebrać?

— Nie, nie koniecznie... a mnie co po jednym rysaku.

— Nie dosyć ci tego! No, jak nie mam mówić, żeś żyd... wstydziłbyś się.

— Czego się mam wstydzić? ja ci daję daleko więcej, niż ty mi dać możesz.

— No, mówże czego chcesz... a nie męcz już dłużej! — krzyknął niecierpliwiąc się Szuwała — mów, tyś już tu z namydloną rzeczą przybył.

— A pewnie! — odparł spokojnie Pratulec — Myślisz, że ja koło tego nie chodziłem, nie deptałem... nie namęczyłem się, tydzień już siedząc w Olszowie.

— A no! masz! to on w Olszowie... wezmę go i bez ciebie — rozśmiał się sprawnik.

— To go bierz — zimno rzekł Pratulec, wstając z krzesła — dobrze... ja więcej nie powiem nic.

— E! ty! niedobry! — łagodniej ozwał się Szuwala, podając mu rękę — czy to my nie stare druhy... Na... ręka... dam co chcesz, jeźli zmogę.

— Ja nie chcę wiele... parę karych koni... pieniędzy nie żądam...

— Zmiłuj się... moje najlepsze...

— Albobym ich chciał, gdyby złe były! — zaśmiał się Pratulec, zacierając ręce — ho! ho! dobry interes i dobre konie.

— No... dam, dam... abym go wziął.

— Słowo?

— Słowo... Ścisnęli sobie ręce.

Panna Karolina wychrzczona żydówka, rodem z Ołyki, wniosła uśmiechając się poncz na tacy. Była to gospodyni pułkownika, osoba żywa z oczkami czarnemi, wcale piękna, nadzwyczaj śmiała i ostatecznie... zalotna... nie mówiąc więcej, bo nie można. W mieście na żart przezywano ją pułkownikową i sprawnikową, a ona serjo może spodziewała się, że nią kiedyś zostanie.

Wedle zwyczaju spodziewała się przywitania żarcikami... grzecznostkami, ale Szuwała kazał poncz postawić i pręciuchno się jej pozbył. Wy-

szła markotna — a gdyby była przeczuła, że kare konie któremi czasem jeździła — odebrać jej miano!

Szuwała drzwi zamknął.

— Mówże — natarczywie odezwał się do przyjaciela — ten niepoczciwy człowiek wiele mnie już krwi i potu kosztuje, niech się pocieszę, gdy na szubienicę pójdzie albo pod knuty!

— Słuchaj — odpowiedział wolno puncz gorący popijając Pratulec — nicomyliłeś się domyślając, że jest w Olszowie, ale i tak byś go bezemnie nie dobył... Prawdę rzekłszy,.. diabeł by zgadł, że się ten zuchwalec śmie ukrywać tuż pod miasteczkiem powiatowem, we wsi, gdzie ojciec jego mieszkał, gdzie go wszyscy znają... pod bokiem ziemskiej policyi. No! sprytne licho.

Wiesz, że ja mam część w Olszowie... znam ich tam panów i chłopów do nogi od dawna... wszystkich... Mój dzierżawca począł mi figle płatać, rachunki podawać... pojechałem żeby go wyrzucić won, bo kontraktu nie ma... No i jam nie głupi a ostrożny... wiedziałem, że tak będzie skończyć potrzeba...

Jeszcze mi groził skargą! e! tego już nadto.. tak ja go precz z dziećmi, z bebechami. Kazałam na ulicę wytaszczyć... Skarż teraz!

Jak mi dzierżawcy nie stało, trzeba było przecie jakiś ład zrobić w Olszowie, bo już o

drugiego posessora nie będzie łatwo; musiałem zostać na gruncie. — Nudy cesarskie!! Nie mając co robić popoznawałem się jeszcze bliżej z chłopami, z popami, z arędarzami — na wsi! nic na rady!

Chłopy między sobą się kłócą i zajadają, jeden na drugiego do mnie skarzy, bo wiedzą, że ja z policyą jedna ręka.

Jednego wieczora przychodzi do mnie pop. Ty wiesz, że ja ryzy i kosy nie lubię — bo to naród paskudny — ale co robić — ojciec duchowny, choć szelma to się go w rękę całuje. Piłem herbatę, wlazł na próg, musiałem prosić — nalałem mu rumu... a prawdę powiedziawszy prostej wódki. Rozgadał się popina jakby worek rozwiązał... Wie że ja z błahoczynnym i z protojercjem jak najlepiej. — Nareszcie za drugą szklanką całując już mnie w rękę powiada na ucho, że we wsi zbiegły rekrut pewnie się przechowuje, że go jakiś chłop u siebie trzyma, że można by z tego co pociągnąć, a broń Boże potem dójdą, wszystkim bieda. Nacisnąłem go, powiedział mi gdzie... jak... Dobrze... Nazajutrz ja na zwiady, formalne śledztwo ale sekretne, nastraszyłem chłopów... aż mi jeden się przyznał, że u sąsiada jego jest jakiś człek, niby parobek, który mu w polu robi, nigdzie się nie pokazuje, a w loszku u niego sypia...

Trafiwszy na ten trop... jakiem ich zaczął macać — doszedłem kto on taki.

— Ba! ba! Któż ci powiedział, że to on! To prosty domysł... może prosty rekrut...

— A ja ci mówię, że on — rzekł Pratulec — co ci do tego, to mi koni nie dasz.... Jeszcze kiedy stary Zeńczewski ich ojciec tam gospodarzył, byli zawsze ze wszystkimi chłopami jak najlepiej. — Pewnie sami z chłopów pochodzą, bo żyli z nimi, leczyli, karmili, dzielili się ostatnim chleba kawałkiem — to też cała wioska za nich dałaby się zamęczyć... i jabym się nie dowiedział od żadnego nic, gdyby nie obcy pryjmak z drugiej wioski. Oni by go nigdy nie wydali...

Sprawnik stał zadumany.

— No, pewnie? pewnie? — zapytał jeszcze.

— Przekonasz się... ale czasu nie można tracić... Dzisiejszej nocy pojedziemy z żandarmami... i weźmiemy jak lisa w jamie. Nocuje w loszku... jedne drzwi do niego, dziura mała... szyja od lochu wązka, nie wylazłby i kot tamtędy... Zresztą obstawiwszy do koła...

Szuwała drżał cały i uśmiechał się z szatańską złością.

— No! nareszcie! — zawołał, ściskając przyjaciela i wychylając punczu szklanicę.... E! nie ża-

łuję pary wronych... jeźli mi się w ręce dostanie i ty głupi, gdybyś był chciał, dałbym cztery konie i kocz i uprzęż i trzysta rubli za tego człowieka...

Pratulec ramionami ruszył...

— No! głupi! — rzekł — to prawda, ale przyjaciel...

Sprawnik zadzwonił żywo...

— Hej! sekretarza!

W chwili stawił się powołany troszkę pijany, ale mogący jeszcze ustać na nogach.... Szuwała popatrzał nań.

— Tyś pijany!

— Uchowaj Boże...

— Ej! ej! Stefanie Mikityczu... znowu... w czasie służbowym.

— Uchowaj Boże! — wołał Stefan Mykiticz, ale co słowo dostawał czkawki.

— Tyś do niczego!

— Uchowaj Boże... ja brałem lekarstwo...

— Tak! a tu potrzeba jechać w powiat...

— Ja gotów...

— Żeby mi wszystko było gotowe... czterech żandarmów, czterech z inwalidnej komendy co najlepszych... bryczki, konie... i żeby żywa dusza nic nie wiedziała...

— Słucham pułkownika...

— I żebyś był trzeźwy jak cię matka narodziła...
— Słucham pulkownika...
— Ludzi jeszcze ze dwóch ze straży nie zawadzi? — Spojrzał na Pratulca, który głową dał znak potwierdzający. — Z turmy wziąść parę kajdanków... i powrozy... Kto wie... może się i to przyda.
— Słucham...
— O mroku żeby było wszystko gotowe...
— A o północku w drogę — dodał Pratulec... nie prędzej...
— O północku...
— Masz czas! żebyś mi był trzeźwy! — dodał pułkownik groźno...

Sekretarz wyszedł ze czkawką, a dwaj przyjaciele zapili punczem nadzieję.

Noc już była zimowa, chłodna; jesień nagle przeszła w mroźną porę, drobny śnieżek pruszył niekiedy i pobielał zamarzającą grudę; ziemia przesiąkła długiemi deszczami krzepła i tężała od północnego wiatru... niebo od wieczora okrywało się gęstemi chmurami śnieżnemi. W małej wioszczynie wedle obyczaju wiejskiego, światła były pogaszone prawie wszędzie, w nie wielu się okienkach świeciło, bo ludzie wolą wstawać na doświtki zimą, niż długo wieczornice przeciągać. W karczmie tylko i kilku dworkach czerwonawo błyskały szyby zakopcone.

Wyprawa na nieszczęśliwego emissaryusza przedsięwzięta została ze wszelkiemi możliwemi ostrożnościami, aby go nie wypuścić i nie spłoszyć znowu. Przed wsią pozostawiono bryczki, ludzie pod komendą znającego miejscowość manowcami nad Styrem wysłani zostali dla osaczenia chaty i lochu. Sam sprawnik opatrzony w pistolety i szablę w towarzystwie żandarmów cicho

i ostrożnie wkradał się pod chatami. Szable nieśli w rękach aby nie szczękały... Pratulec obwinięty ciepło towarzyszył przyjacielowi.

We wsi, oprócz psów czujnych, które się pobudziły i obcych poczuwszy naszczekiwały — żywego głosu słychać nie było. Pochód zwolna szedł, milczący... nareszcie Pratulec ukazał Szuwale ową chatę, okoloną bzami i osłoniętą skieletem starej gruszy. Oczy przywykłszy nieco do ciemności rozpoznały, że żołnierze przodem wyprawieni już po cichu stanowiska swe zajmowali. Stali oni gęsto w podwórzu z bronią nabitą — zachowując jak najgłębsze milczenie. Nie bez bicia serca pułkownik wszedł w bramkę otwartą, i rozporządziwszy żołnierzami, kazał do chaty zastukać. Światła już w niej nic było. Na hałas u drzwi wyszła nie rychło kobieta w narzuconym na ramiona kożuchu.

Kazano wyjść gospodarzowi, ale go w domu nie było — okazało się, że u asessora w Torczynie stał na tak zwanej stójce — tygodniowej posłudze z kolei odbywanej przez wszystkie wioski, nad którą cięższej pańszczyzny wystawić sobie trudno. Baba wystraszona postrzegłszy w mroku ludzi tyle — drżała mówić nie mogąc i płakała. Ale po za nią wkrótce ukazał się parobek, którego zaraz pochwycili na znak sprawnika żołnierze.

Ściśnięto go, aby prowadził sam do lochu, gdzie się zbieg miał przechowywać.

Parobczak zaklinał się, że o niczem nie wie, zaczynano go już bić kolbami, a sprawnik mordował go pięścią, gdy Pratulec zwrócił uwagę, że darmo czas tracą, bo loszek tuż... widoczny.

Żandarmi już do niego drzwi łamali... jeden z nich zapaloną na prędce niósł latarnię w ręku... W głębi loszku nic słychać nie było. Ale gdy tarcice pękły i drzwi padły a wnijście się otwarło, świsnęła kula i obaliła pierwszego, który na próg nogę stawił. Drugi żandarm widząc to cofnął się. Pratulec stojący z boku uciekł za węgieł. Pułkownik skrył się za gruszę... ale począł krzyczeć i łajać ludzi, ażeby szli i zbiega żywcem lub trupem brali...

Nikt się jednak nie odważył postąpić, ranny żandarm leżał na ziemi i jękiem przypominał grożące niebezpieczeństwo. Napróżno Szuwala się wściekał, groził, łajał — ludzi jego podchodzili ku drzwiom z boku... a na najmniejszy szelest cofali się z trwogą. Chwila tej niepewności, trwała dosyć długo, i Szuwała poczynał się lękać, aby korzystając z ciemnej nocy i popłochu więzień nie uciekł przebojem. Pratulec wpadł na myśl odkomenderowania kilku żołnierzy z karabinami, aby przez szyję lochu, z tarcic zrobioną i nieco

wystającą nad ziemię, dali wewnątrz ognia... drugich porostawiał u drzwi. Był to środek na los obrany w braku lepszego, bo ani wielkości tej kryjówki, ani kierunku szyi nikt nieznał... więzień od strzałów mógł się w kąt ukryć. Nieszczęście jednak chciało, żeby się to okazało nadspodziewanie skuteczuem... po wystrzale sześciu karabinów... krzyk i jęk krótki, urwany, słyszyć się dał z głębi... potem nagle wszystko ucichło.

Gdy po upływie półkwandransa nic więcej słychać nie było, najśmielszy z żandarmów, zagrzany nagrodą obiecaną dziesięciu rubli — z pistoletem i latarnią... spuścił się w głąb powoli. Zaledwie kilka kroków uszedłszy począł wołać głosem radości i tryumfu... wszyscy się rzucili razem do drzwi... Przeszyty dwoma kulami przez piersi i biodra, zbieg leżał oblany krwią i już bezprzytomny. Życie jeszcze z niego nie było uszło z potokiem krwi, ale oddech słabnący wskazywał, że go już nie wiele pozostało. Czarne oczy w milczeniu, pogardą niezmierną strzelały na otaczających... nie wydał jęku, nie rzekł słowa... leżał konający, ale nie złamany na duchu. Duże łzy tylko w szklnących źrenicach świeciły jak dwa dijamenty...

Szuwała z zaciśniętemi zębami, blady, drżący i pomięszany bardziej, niż jego ofiara, przypadł

sam teraz... nie rad, że weźmie dogorywającego nieprzyjaciela, po którym ważnych zeznań można się było spodziewać. Rozkazy zwierzchnie wyraźnie opiewały, aby się starać wziąść go żywcem. Dla tego może nie pastwiąc się więcej podniesiono ciało, poobwiązywano rany na prędce i wysłano po najbliższego lekarza... zajmując się przetransportowaniem konającego w milczeniu do wojennego lazaretu.

Szuwała tylko stanął nad nim zwycięzki i wybełkotał: — Dostałeś się psie w ręce moje...

Ale wejrzenie Pawła, które się z jego wzrokiem spotkało... tak było straszne, że sprawnik zabełkotał coś jeszcze i zamilkł.

Nie przez litość ale przez rachubę starano się utrzymać przy życiu nieszczęśliwego... pułkownikowi szło o to, żeby wyzdrowiał i męczył się pod knutem... kazał więc sporządzić nosze albo zabrać tapczan z chaty, pokryć go żołnierskiemi płaszczami i pieszo nieść do miasteczka.

Szuwała i Pratulec dokonawszy wielkiego dzieła swego, wstąpili do karczmy i wychylili po sporej szklance wódki, ale jeden do drugiego słowa nie śmiał powiedzieć. Pratulec, który także spotkał był wejrzenie konającego, przesądny jak małorus, wbił sobie w głowę, że będzie pewnie urzeczony...

Paweł, którego twarz pokrywała się zwolna bladością prawie trupią, coraz mniej dawał znaków życia... ale oddéchał jeszcze... powieki jego się zamknęły... usta się zacięły z bolu... krew choć zatamowana chlebem, hubką i spalonemi szmatami, sączyła się zwolna przez nie, brocząc drogę, którą go niesiono.

Szuwała zdawał się uszczęśliwiony na pozór, usta krzywił do uśmiechu, ale jakiś niepokój na zmarszczonem czole i w błysku oczów znać było... Nie tego też się może spodziewał — chciał go mieć zdrowym, żywym a wziął niemal trupa, bezprzytomnego i... może już zamilkłego na wieki. Zrewidowano loszek, chatę — poryto ziemię do koła... podarto suknie Pawła, popruto odzież, wszystko... ale papierów, których zajadle szukano, nie znaleziono przy nim żadnych... Zeńczewski miał czas podrzeć je i popołykać...

Tak się skończyła ta wyprawa — ostatnia, zwycięzka; Szuwała powrócił z niej zmęczony, blady, czując się słabym, i musiał pisząc raport wypić całą rumu butelkę, aby nieco siły odzyskać. Czy go dopiero teraz obumarłe ruszyło sumienie, czy nie to otrzymał czego pragnął — to pewna, że smutny był i przybity.

Pratulec zabrawszy konie kare, z nieco rozjaśnioną twarzą pojechał do domu.

Więźnia z powodu stanu jego, nie można było gdzie indziej umieścić tylko w wojskowym lazarecie — lekarze bowiem po pierwszem obejrzeniu zaraz zdecydowali, że za życie ręczyć nie mogą, chyba przy największej pilności. W oddzielnej celi, pod najściślejszą strażą złożony został Paweł. Dwóch lekarzy, jeden micjscowy, drugi wojskowy podjęli się leczenia.

Strzał jeden przeszedł piersi, ale tak szczęśliwie, że żadnego ważniejszego organu nie naruszył — kula przebiegła na wylot i nie pozostała w ranie. Druga utkwiła w biodrach, prześlizgując się po kości nadwerężyła ją i za skórą zawisła. Oba postrzały nie były śmiertelne, ale przez spóźniony ratunek wiele krwi uszło... a samo wrażenie wypadku i położenie rannego dalszy przebieg choroby niebezpiecznym czyniło.

W ręku lekarzy Paweł po kilku godzinach odzyskał zupełną przytomność, otworzył oczy... usiłował z piersi zedrzeć bandaże i niedopuścić leczenia, ale głos doktora i groźba, że mu ręce związać każe, jeźliby się miotał — uspokoiła go.

— Jak macie sumienie mnie leczyć? barbarzyńcy — odezwał się — leczyć na to tylko, ażebym dłużej cierpiał, męczył się i konał pod knutami... Gdybyście ludźmi byli, dalibyście mi raczej truciznę...

Zakazano mu mówić — ale doktor Moskal, śmielszy nieco — zwłaszcza że nikogo nie było w tej chwili przy nich, odezwał się po cichu:

— Dopóki iskra życia w człowieku, póty nadzieja... my spełniamy obowiązek... a co Bóg da... on tylko wie. Zachowaj się pan spokojnie...

Oba lekarze oświadczyli stanowczo władzy policyjnej, że do kilku tygodni zapewne ani myśleć było można o badaniu więźnia, jeżeli życie jego ocalić chciano. Szczęściem z Kijowa i Petersburga nadeszły rozkazy, ażeby jak najtroskliwiej czuwać nad schwytanym, gdyż na nim pokładano nadzieję wykrycia najważniejszych spisku rozgałęzień.

Lekarze miejscowi mieli sobie dodanego umyślnie wyprawionego na miejsce sztab-doktora S.... który przybył dla zbadania stanu chorego i obmyślenia jak najwłaściwszych środków uchowania go przy życiu.

Nazajutrz po tym wieczorze tak dla Celiny pamiętnym — okropna wieść o losie Pawła zadała jej cios śmiertelny. Nieostrożnie uwiadomione o tem dziewczę biedne padło na ziemię bez zmysłów — powróciwszy na chwilę do przytomności zachorowała potem tak silnie, iż przywołany lekarz zwątpił nawet zrazu o jej życiu.

Powód choroby nie pozostał długo tajemnicą, przynajmniej dla otaczających, bo Celina w gorączce wypowiadała całą swą rozpacz... Doktor, który do niej przychodził, był właśnie tym samym, co Pawła pilnował, i to może ocaliło biedną Celinę. Zdjęła go niezmierna litość nad nieszczęśliwą istotą.

Z drugiej strony i Paweł, którego codzień bliżej poznawał, obudził w nim uczucie podziwienia i szacunku charakterem swym męzkim i energią niezłamaną. Jak tylko Celina zrozumieć go mogła, szepnął jej czarodziejskie słowo pociechy.

— Pani — rzekł — odzyskaj zdrowie, siły, męz-

two, a Bóg jest wielki... a ludzi na świecie poczciwych więcej jest, niż się na pozór zdaje... Trzeba żyć i mieć nadzieję zawsze... Nie mogę pani powiedzieć więcej... ale my... my mamy obowiązek czuwać, ratować i przypominać ludziom, że do ostatnego tchu rozpaczać się nigdy nie godzi.

Trzeba przyznać, że los Pawła nawet w najzaciętszych Moskalach ubudzał litość i ludzkie uczucia...

Sprawnik Szuwała, któremu naturalnie rząd nową nagrodę wyznaczył, postrzegł wkrótce po odniesionym tryumfie, iż najlepsi nawet przyjaciele poczęli się powoli odsuwać od niego — a zwierzchnicy przy zimnej grzeczności okazywali dlań widoczną wzgardę. Unikano podania mu dłoni. Wice-gubernator w przejeździe przez powiat przyjął go u drzwi i w chwili pożegnania, pochował ręce do kieszeni, a zachował się tak zimno, iż Szuwała wyszedłszy od niego... w ulicy uczuł się prawie rewolucyonistą.

Toż samo spotkało Pratulca, oba oni znaleźli się wkrótce tak osamotnionymi i znienawidzonymi nawet przez swoich i nie wiele nad siebie lepszych, że bezczelny denuncyant począł już nawet przemyślać o sprzedaniu swojej części w Olszowie i wyniesieniu się za Dniepr... Pułkownik mruczał, że poda się do dymisyi... był najpewniej-

szym, że rząd mocno dotkniętym zostanie... stratą tak znakomitego męża.

Wprawdzie nikt tym panom nie śmiał okazać jawnie powodów niechęci i wstrętu, ale w stosunkach towarzyskich są odcienia do pochwycenia łatwe, któremi się tajone uczucia objawiają. Sprawnik w poufalszych kołach rozpoczynał na złość opowiadania o swej expedycyi do Olszowa... ale za każdą razą milkli przytomni, a śmielsi wynosili się pod różnemi pozorami do innych pokojów.

Niezapraszano go nigdzie, unikano widocznie. a zagadnięci zbywali ogólnikami. Postępowanie to z niższymi w hierarchii urzędniczej nic wiele go obchodziło — ale nawet naczelnicy pochwalając nadzwyczajną gorliwość traktowali go już po prostu jak kata, który usłużył władzy, ucinając łeb nienawistnemu jej człowiekowi... któremu się płaci jego posługę, ale się z nim bratać nie lubi.

Gorzkie uczucie napełniło serce pułkownika, poczynającego półsłówkami uskarzać się na niewdzięczność rządu, dla którego się poświęcił.

Tymczasem los winowajcy prześladowanego musiał wzruszać nawet ludzi obojętnych i choćby inaczej myślących, ale umiejących zawsze i wszędzie uszanować heroiczną ofiarę. Nie każdy śmiał mu okazać współczucie, wszyscy jednak usiłowali skrycie dać jego dowody.

Choroba, mimo młodości i sił jej, wymagała długiego czasu... tak przynajmniej utrzymywali poczciwi lekarze, chcąc przedłużyć chwilę wypoczynku i folgi dla więźnia, którego niechybny, nieunikniony, straszny los oczekiwał w przyszłości.

Nieulegało wątpliwości, iż gdy do zdrowia powróci, będzie badany, a kto go cokolwiek poznał, przekonanym być musiał, że z niego nie łatwo co dobyć przyjdzie katom.

Szło zatem, iż go czekały męczarnie, chłosta, głód, kazamaty i straszny ucisk moralny... a gdyby po długich mękach nic powiedzieć nie chciał, zawsze skazanym być musiał na szubienicę, lub barbarzyńską chłostę i wieczne roboty w kopalniach.

W jednem jeszcze państwie moskiewskiem tortury średniowieczne utrzymały się po dziś dzień, z mniejszem narzędzi męczeńskich przyborem, ale z najnielitościwszem okrucieństwem.

Niema prawie ważniejszego więźnia politycznego, któregoby nie smagano, nie głodzono, nie karmiono śledziami, nie bito związanego po twarzy, nie zelżono bezbronnego... i nie usiłowano złamać obejściem nieludzkiem. Uczucia, z któremi popisują się filantropi moskiewscy, rząd i panujący, ustępują w sprawach politycznych zaciętości i barbarzyńskiej zemście... której dziś na całej

kuli ziemskiej nie znajdzie już przykładów. Dziennikarstwo postępowe, liberalne, jak skoro idzie o Polaków, pochwala wszystko, niewinnia i nie znajduje żadnej tortury za srogą dla nich.

Paweł odzyskując siły powoli, zdawał się, mimo wiedzy następstw, jakie go czekały, spokojniejszym coraz na umyśle. Mówił mało, ale nie trwożył się zbytnio przyszłością.

Osłodą razem i goryczą tych dni, odkradzionych śmierci, były wieści od Celiny, które ostrożnie przynosił mu lekarz poczciwy, coraz mocniej przywiązujący się do obojga.

On to potrafił namówić sztab-doktora i drugiego kolegę, ażeby chorego, unikając szkodliwego wpływu lazaretowego powietrza, dla przyspieszenia powrotu do sił, przenieść na resztę kuracyi do osobnego, mało oddalonego dworku. Tyfoidalna gorączka, która się zjawiła między chorem żołnierstwem, zupełnie tę ostrożność usprawiedliwiała.

Policyjne władze opierały się temu w początku, rzecz była prawie bezprzykładna, posłano przedstawienie do Kijowa, a że tam szło wielce o utrzymaniu więźnia przy życiu, zagrożonym tyfoidalną zarazą, zadecydowano wyniesienie chorego do dworku, z tem, aby jak najściślejsza straż około niego dzień i noc była utrzymywana. Paweł dotąd jeszcze z łóżka się podnosić nie mógł, a

już lękano się nic wiedzieć jakich ewentualności.

Moskiewska policja zbyt podobno ma wysokie wyobrażenie o polskiej intrydze, zręczności, knowaniach i zabiegach. Jeźli się kiedy uda nieszczęśliwemu Polakowi wydrzeć ze szpon tych, zawdzięcza to raczej nieudolności swych stróżów, niż przebiegłości przyjaciół, niekiedy do zuchwalstwa posuniętej rozpaczy.

Panna Celina po gwałtownej chorobie jakby cudem przychodziła do zdrowia, ale wstała z łóżka inną prawie kobiétą; z wesołego dziéwczęcia stała się poważną, zamyśloną niewiastą, na której ustach dziéwczęcy uśmiech wesela już nie zawitał. Czoło pokryte dumami, zasępione zdradzało głęboką pracę duszy, oczy jakby przygasłe patrzyły zda się wewnątrz więcej, niż na świat boży. Całe dnie rozmyślała chodząc w milczeniu, zadumywała się, przebiegała swoją izdebkę niespokojna... walcząc z sobą i gotując się do walki z losami.

Poczciwa ciotka nie opuszczająca jej na chwilę, goniła wzrokiem, usiłowała odgadnąć, ale słowa się z niej dopytać nie mogła. Nie raz kilkakrotnie powtórzone pytanie nie doszło nawet jej uwagi... budziła się potem niby przestraszona i nieprzytomna.

Tak lub nie, było zwykłą na pytania natarczywe odpowiedzią, oderwana od dumań po chwili wracała do nich znowu.

Troskliwa opiekunka, która tego stanu ducha, pogrążonego w sobie, zrozumieć nie mogła, uważała go za skutek lub dalszy ciąg choroby. Zresztą w jej oczach przykre nader, choć nie zrozpaczone położenie ojca, usprawiedliwiało biedną Celinę.

Poczciwy doktor, który ją w chorobie doglądał, i teraz jeszcze przychodził czasem odwiedzić swoją pacyentkę, przynosząc jej wieść od ojca, lub jakie słowo pociechy od Pawła. Celina posłała mu była Naśladowanie Chrystusa Pana... które odtąd go nie opuszczało... Wzorem innych skazanych na długie dnie bezczynności, Paweł z chleba i bułki lazaretowej wyrabiał kwiaty i sprzęciki... które posyłał Celinie...

Doktor, o którym mowa, Małorosjanin jak Pratulec, ale różny wcale od niego... dusza gorąca, poczciwa... charakter szlachetny, był opatrznością dla obojga. Serce w nim wyrobiło może po części jego wyjątkowe na świecie położenie.

Atamaneńko był poczwarnie garbaty, głowę miał ogromną spiczastą, ręce długie, nogi krzywe... podobny do Quasimoda, sam się nim żartobliwie przezywał. Zwykle taka monstrualność odstręczając ludzi od biednego kaleki, jego odstręcza od nich, robi zgryźliwym, ostrym, złośliwym. W Atamaneńce przeciwnie zwiększyła serce, usposobiła je litości-

wie dla wszelkiego cierpienia. Na pozór straszny, zimny, czasem opryskliwy, w rzeczy był aniołem dobroci i poświęcenia. W lazarecie tylko ci go niecierpieli, którym chorych okradać i ogładzać nie dawał... reszta go wielbiła. Atamaneńko, lekarz doskonały, wzywany do chorych nieustannie, poszukiwany, szczęśliwy, był bezprzykładnie jak na doktora ubogim. Grosza nigdy nie miał przy duszy, bo też nietylko od uboższych nic nie bierał, ale za nich lekarstwa opłacał, a gdy komu nie starczyło na posiłek zdrowy, kupował żywność, tłumacząc się, że to czyni dla miłości nauki i eksperymentów.

Ci co czytali N. Dame V. Hugo, przezywali go jak wspomnieliśmy, Quasimodo, drudzy nazywali Kalibanem, studenci Ezopem, a żołnierze Żabą. Ale go jednak kochało co żyło, a on pierwszy śmiał się z przezwisk swoich.

Jednego wieczora, w kilka już tygodni po pochwyceniu Pawła, poczciwy Atamaneńko przywlókł się znowu do dworku panny Celiny.

Zawsze mu tu byli radzi, a że herbatę lubił, kazała ciocia natychmiast samowar nastawiać, sama nawet poszła dopilnować, aby do niej było wszystko co potrzeba. Ezop lubił słodkie ciasteczka, jedynej bowiem tej słodyczy w życiu używał i nadużywał.

Celina została z nim sam na sam.

— Powiedz mi pan, powiedz — odezwała się błagając natarczywie — jak on się ma?

— Ale na ten stan, w jakim jest, ma się wyśmienicie — odpowiedział garbus — rany goją się aż nadto prędko... cała obawa, żeby zbyt rychło go do Kijowa nie wzięto, gdy zawyrokują, że dosyć jest silny.

— Smutny jest? — spytała Celina.

— Nie powiem tego, jest raczej poważny— rzekł Atamaneńko. Jeszczem z takim charakterem człowieka nie widział.

— A! panie— zawołała składając ręce Celina— panie mój drogi, gdyby tego człowieka można ocalić.

Lekarz położył palce na ustach.

— Czy pani chodzisz czasem na przechadzkę? — spytał po chwili milczenia— teraz przymrozki, sucho... ładnie, nawet nie bardzo zimno, powietrze by pani służyć mogło. Czemuby się pani naprzykład jutro nie przeszła, tak o szarej godzinie... jeźli wytrwa pogoda... ku... Bernardynom.

Jakieś dziwne mrugnanie oczyma towarzyszyło tej lekarskiej radzie, którą Celina zawahawszy się zrozumiała i odpowiedziała żywo:

— Gdybym miała nadzieję was spotkać?

— Może właśnie ja tamtędy będę przechodził. Nie lubię siedzieć zamknięty, a z obowiązku prawie ciągle między czterma murami jestem uwięziony.

Potem Atamaneńko rzucił się chciwie na przyniesione ciasteczka i wesoło rozmawiał o plotkach miejskich.

Szczęściem nazajutrz niebo było jasne, powietrze łagodne, przymrozek mały, i Celina posłuszna radzie doktora wyszła ze służącą ku Bernardynom; najdziwniejszym trafem na drodze jeszcze spotkała lekarza.

— Pani wyszłaś trochę za lekko ubrana — rzekł na wstępie — poślij pani po cieplejszą chustkę lub okrycie do domu służącę, a my tu na nią przechadzając się poczekamy.

Gdy się sługa oddalila, lekarz pilno obejrzał się w koło, na horyzoncie nie było nigdzie ani dorożki policmajstra, ani kocza sprawnika, ani czerwonego nosa urzędniczego.

— Wie pani — odezwał się lekarz — że to bardzo starożytne miasto... Był to niegdyś, jak piszą kroniki, gród wielki i wspaniały, a dziś taka smutna pustka i ruina! Ślady tylko dawnego bytu zagrzebane w gruzach pod nogami pozostały... po ogródkach mieszczanie odgrzebują płyty marmurów, które pałace zdobiły. Opowiadają oni, że

pod całem miasteczkiem niegdyś murowanem a dziś tak wypalonem i nędznem, są ogromne stare lochy, któremi można obejść je całe. Są jeszcze tacy ludzie, co je znają. Były to zapewne niegdyś albo piwnice magnatów, albo składy kupców ormiańskich, może też resztki to jakiej twierdzy i środki ucieczki od napaści nieprzyjaciela. To tylko pewna, że lochy całe do dziś dnia istnieją... Kto wie? może się tam dziś kontrabandy od oczów policmajstra ukrywają?

Celina słuchała nie śmiejąc mu przerywać.

— Raz mi się trafiło — mówił dalej — gdy kopano na fundamenta jednego domu i obalono sklepienie, wypadkiem zajrzeć do takiego lochu... Jestem dosyć odważny, ale spuściwszy się tam przez ciekawość, przestraszyłem się tych ciemnych głębi. Labirynty! Są ludzie przecie, co te wszystkie chody znają... ale to ich tajemnica... lękają się, aby jedyne schronienie, jakie mają od policyi, nie zostało wytropione.

Zaczął się śmiać.

— Mówią — dodał bardzo cicho — że przy skasowanym bernadyńskim klasztorze, w którego loszku biskup Piwnicki miał także kasę swoją, jest dawny zakrystjan kościoła, mający już z lat ośmdziesiąt, drudzy mówią, że sto. Otóż o tym starcu chodzi fama, iż on jeden to miasto pod-

ziemne tak zna, że w niem bez światła spacerować może. Co dziwniejsza, wie on pono dokładnie, jaka część tych lochów, pod który dom lub dworek najbliżej podchodzi. Są takie domki, co na lochach stoją, same o tem dziś nie wiedząc.

Celina słuchała z coraz wzrastającą uwagą.

— Czy pan to mówisz serjo? — spytała.

— Ale najzupełniej serjo, i pewny jestem tego, co mówię, niech pani wierzy. Zapewne lochy nie są może tak rozległe, jak lud skłonny do przesady opowiada, ale choćby i nie pod każdy dom sięgały... podkopać się z nich łatwo do każdego, kto zna dobrze miejscowość. Otóż to mieszkać w takiem starem mieścisku— rzekł śmiejąc się — człowiek sobie zasypia spokojnie... a tu mu złodziej może wyleźć z pod łóżka.

— I pan słyszał, że ten stary pod Bernardynami... — przerwała Celina.

— Tak mówią... i to pewna — zowie się Pietraszek, znają go tu wszyscy dobrze... ale do niego niełatwo przystąpić... człek ten cały boży dzień się modli... z ludźmi gadać nie lubi, tetryk... skąpiec... Utrzymują że bogaty, a w lochach tych gdzieś chowa uzbierane skarby.

Począł się śmiać.

Celina przysłuchiwała się z uwagą... on nie-

kiedy badał oczyma, czy go rozumie, a więcej powiedzieć nie mógł...

W tem służąca nadeszła z chustką, panna Celina nie miała już ochoty do dłuższej przechadzki i zamyślona powróciła do domu. Atamaneńko pożegnał ją przy zawrocie.

Przez uwięzienie głównego winowajcy los innych aresztowanych mógł się nieco polepszyć, schodzili oni do innej kategoryi obwinionych. Szczególniej podsędek, skutkiem umiejętnych córki zabiegów, wyzdrowiawszy nieco otrzymał obietnicę drogo znowu opłaconą, że może zostać uwolnionym czasowo na porękę, z warunkiem stawienia się do komisyi na jej zażądanie. Zwlekano jednak urzędowe rozwiązanie z dnia na dzień, a jeźli kto to panna Celina wcale się o zatrzymanie w miasteczku nie gniewała podobno.

Ciotka dziwiła się niezmiernie zmianie jej humoru i gorliwości nadzwyczajnej w nabożeństwie, jakiej jeszcze nigdy w siostrzenicy nie widziała. Nieustannie wychodziła na msze, na nieszpory, na medytacje, różańce, to do katedry, to do klasztorów, a ciotka jakkolwiek towarzyszyć jej rada, rzadko kiedy mogła pójść z nią razem... zawsze się tak dziwnie składało. Nie brała nawet z sobą sługi, ale w małem miasteczku nie raziło to ni-

kogo. Widywano ją najczęściej w towarzystwie jednej z sióstr Miłosierdzia, podżyłej już matki Vincentyny.

Niektóre zmiany zaszły w tym czasie pomiędzy urzędnikami... Pułkownik Szuwała, mianowany jenerałem, przeniesiony został na grodo-naczelnika do Wołogdy... a biedny poczciwy Atamaneńko wzdychając bardzo zwijał szczupłe tłumoczki i wywoził się na lekarza przy szpitalu wojennym w Kowlu.

Obu im z różnych przyczyn nie bardzo chciało się opuszczać miejsca, do których byli nawykli, ale człowiek w służbie jest niewolnikiem. Szuwała wybierał się powoli, z poufalszymi w rozmowie dając do zrozumienia, że był dosyć niezadowolnionym z tego awansu, i że się czego innego wcale spodziewać miał prawo. Wołogda wydawała mu się po trochę wygnaniem, przy tem w głębi Rossyi już tak bezkarnie dokazywać nie można, jak w tych zawojowanych prowincjach... hors la loi.

Chory tymczasem coraz się miał lepiej, co tydzień wysyłano przez trzech lekarzów podpisywany raport do Kijowa, i za miesiąc obiecywano go wreście oddać w ręce komisyi, dokarmionego na męczeństwo.

Rabczyński i Załowicki z powodu, iż śledztwo właściwe dotąd się jeszcze nierozpoczęło, mieli

pozwolenie pozostania w turmie miejscowej, ale razem z głównym winowajcą przewieźć ich poźniej nakazano do Kijowa. Załowicki okuty był w kajdany i strzeżony jak najściślej.

Tymczasem i sztabdoktor odjechał, a dozór nad Pawłem powierzony został władzy wojskowo-policyjnej — lekarze miejscowi doglądali konwalescenta.

Na pozór tedy wszystko się tak składało, że zgotowanego mu losu nieszczęśliwy uniknąć nie mógł. Boleli nad tem wszyscy, bo ktokolwiek się doń zbliżył, odchodził ujęty energią rzymską jego charakteru i dziwnym umysłu spokojem. Żołnierze na straży, którym los jego nie był tajemnicą, zdumiewali się słysząc go spiewającego czasem wieczorami tęskną piosenkę jaką.

Po wyjeździe Atamaneńki już panna Celina wiadomości o nim nawet żadnej mieć nie mogła. Ale i ona dziwnie się zdawała uspokojoną. Czy to czas wszechmocny zbyt żywe uczucie złagodził, czy w serce jakaś niepojęta dla drugich wstąpiła nadzieja?!

Już wśród zimy, podsędek Jaglowski za wielkiemi protekcjami otrzymał nareście ów chwilowy urlop do domu, i nie tracąc ani godziny, zabrawszy córkę natychmiast wyruszył do Radziszewa:

Panna Celina ostatni dzień cały niemal spędziła w kościołach i spłakana opuściła miasteczko... zdala jeszcze błogosławiąc je krzyżem świętym. Pobyt w niem na całe życie miał dla niej zostać pamiętnym.

W kilka dni po odjeździe podsędka z córką, nadeszły rozkazy z Kijowa, i wśród największej tajemnicy nazajutrz postanowiono wywieść Pawła. Wóz, kajdany, straż, żandarmi, wszystko było w gotowości, gdy wśrod największego spokoju niczem nie zamąconego... jak piorun gruchnęła wieść, że ów więzień, emissarjusz, strzeżony jak oko w głowie przez cały oddział żołnierzy, w biały dzień niepojętym sposobem zniknął.

Mówiliśmy już, że w osobnym umyślnie na ten cel najętym dworku, nieopodal od lazaretu był umieszczony; domek ten drewniany na podmurowaniu składał się z sieni na przestrzał, z izby, w której część straży odpoczywała, i jednej izdebki przeznaczonej dla więźnia. Okna jej były pozabijane deskami, obwarowane zewnątrz kratą; oprócz tego jeden żołnierz w sieni przechadzał się ciągle pode drzwiami, dwóch z karabinami stało na warcie pod zabitemi oknami.

W wigilją tego dnia chory był jeszcze w

łóżku, nie wstawał nawet; wieczorem felczer opatrywał niedogojoną ranę na biodrach, bo piersi oddawna się zamknęły i zabliźniły. Co dziwniej, ranna jeszcze wizyta doktora i felczera odbyła się na zwykły sposób... więzień nie powinien był wiedzieć, że wieczorem wywieść go miano. Od godziny dziewiątej rano do pierwszej nikt zwykle nie wchodził do niego, ale straż na chwilę drzwi nie spuściła z oka... a te były na klucz zamknięte. Najmniejszego szmeru wewnątrz słychać nie było. Gdy o godzinie obiadowej żołnierz wedle zwyczaju, otworzywszy drzwi przy feldfeblu wszedł przynosząc jedzenie, z początku oczom swoim uwierzyć nie chciał nie spostrzegłszy więźnia w izbie... i łóżko puste. Osłupiały wyszedł spytać tego, co stał na straży, czy go nie wywieziono... żołnierz myślał, że sobie z niego żartują.

Oba z feldfeblem zajrzeli raz jeszcze... w izbie było pusto... nikogo...

Łóżko stało porozrzucane nieco, ale w miejscu... chory znikł... Pułap i podłoga były nietknięte.

Dla pospolitych ludzi wydało się to czarodziejstwem! dla innych nierozwikłaną tajemnicą. W pół godziny na dany znak trwogi, co było osób mogących odpowiadać za tę ucieczkę, zbiegło się w przerażeniu i największej rozpaczy do dworku. Wszyscy osłupieli... na chwilę już naradzano się,

czy go nie podać za umarłego, ale rzecz nazbyt była głośną.

Faktem było, że lekarz i chirurg widzieli go, mówili z nim jeszcze z rana, że drzwi były jak najhermetyczniej zaryglowane, straż ciągła, okna w całości, nienaruszone, wszystko w porządku... tylko tego więźnia brakło...

Jak? którędy mógł się tak ulotnić? to przechodziło ludzkie pojęcie...

Moskale przysięgali, że to być musiał charakternik (to jest czarnoksiężnik), ale wyżsi urzędnicy, niemogący przypuścić cudu, posądzali się wzajemnie o zdradę... o przekupstwo.

Na ślad wszakże trafić było niepodobieństwem. Końce poszły w wodę — mówili po cichu Moskale.

Komisja po komisyi zjeżdżała do dworku ostawionego gęstą strażą, wystukiwano ściany, zrywano podłogi, opatrywano kąty i nic nie zrobiwszy każda z nich odchodziła wątpiąc o własnym rozumie.

Chyba go kto wyprowadził? — szeptano — ale kiedy? jak?

Lekarz, felczer, żołnierze, wszystko było uwięzione, badane, nadaremnie.

Każdy nowo-komenderowany urzędnik jadąc śmiał się z nieudolności poprzedników swoich,

szydził, poprzysięgał że odkryć musi tajemnicę... a potem wracał z długim nosem, klnąc polskie intrygi i przebiegłość buntowników i tajemnicze spiski, do których wszyscy należeć musieli, niewyjmując urzędu.

Gdy tak z kolei pięć komisyj cywilnych, wojskowych, żandarmskich, sekretnych zbadało ten nieszczęśliwy grunt — a w górze, gdzie oczekiwano na emissarjusza, gniew wzrastał nadzwyczajnie, odkomenderowany został nareszcie z Petersburga od szefa żandarmów, skromny bardzo i niepozorny ajent, Niemiec, nazywający się po prostu Piotr Schmalz... Był rodem z Berlina, ale dawno już służył w Rosyi. Słynął on z rozwiązywania węzłów gordyjskich.

Mądrości tej Schmalza nikt by się był nie domyślił z zewnętrznej jego postaci; wyglądał na tuzinkowego Niemca, któremu dobre piwo nie jest obojętnem; miał nawet minę zaspaną, i atrybut dla policjanta niepotrzebny a nawet zawadzający — brzuch krągły i wystający. Zresztą milczał i fajkę palił.

Schmalz dosłużył się był w różnych missjach krajowych i zagranicznych rangi kolegialnego radcy — nie bagatela! — a w dziurce od guzika nosił cały bunt wstążeczek.

Jak go miejscowa policja przyjęła, domyśleć się łatwo: przybywał ze stolicy! Ale w duchu i po za oczyma śmiano się z niego mówiąc sobie po cichu: co on tu wytropi, kiedy rozumniejsi nad niego nic znaleźć nie potrafili?

Pierwszego dnia Schmalz fajkę palił i protokoły poprzedników swych odczytywał przez okulary... drugiego dnia poszedł się przespacerować po miasteczku, a trzeciego nic nie robił, ziewał, narzekając, że piwa dobrego nie było. Czwartego wybrał się do dworku; poszedł za nim policmajster i dosyć gawiedzi urzędniczej. Schmalz wszedłszy do izdebki popatrzył, nałożył sobie fajkę, potem siadł na łóżku i palił ją w milczeniu, póki dobrze się nie rozpaliła.

Paramin stał w progu z miną pełną współczucia dla frasunku tak znakomitej reputacyi człowieka, który miał zdobytą latami sławę stracić w tak małem miasteczku... Nagle Niemiec podniósł głowę, uśmiechnął się i ręką ku sobie przywołał policmajstra.

— Proszę waćpana kazać tu przywołać kilku ludzi z motykami i siekierami.

Policmajster ukrywając uśmiech szyderski, i ruszywszy ramionami nieznacznie, pospieszył rozkaz wykonać.

Nie rychło zdobyto na sąsiadach motyki i pozabierano w chatach siekiery. Trzech inwalidów stali u progu w gotowości.

Schmalz naówczas powoli wstał, fajkę wytrząsł i rozkazał naprzód łóżko odstawić.

Pod niem była podłoga taka, jak w całej izdebce, zaczęto ją odrywać... gdy nagle jeden z dylów za słabem dotknięciem podniósł się, gdyż wcale nie był przymocowanym.

Policmajster pobladł.

Dyl ten tak lekko położony pokrywał otwór głęboki, ciemny, dziurę przebitą w starem grubem sklepieniu. Schmalz wskazał ręką policmajstrowi, który już i sam to zmiarkował, że tędy więzień spuścić się musiał, dla niepoznaki położywszy znów za sobą owe drewno ruchome.

Moskale w niezmiernem byli podziwieniu nad domyślnością i sprytem flegmatycznego Niemca, który posłał zaraz po drabiny, aby loch ów opatrzeć.

Zblizka wejrzawszy weń znaleziono mocny drąg, na którem sznur skręcony z prześcieradeł był przewieszony. Po nim to więzień spuszczać się musiał.

Policmajster i żołnierze wstawili powiązane drabiny do lochu, jeden z inwalidów zeszedł na-

przód próbując mocy z latarką, a za nim puścił się Schmalz i rad nie rad Paramin.

Pod domkiem znalazła się stara piwnica, dalej loszek, a od niego długa szyja sklepiona wiodła w bok o kilkadziesiąt kroków. Ciągnęła się ona znać i dalej, ale była świeżo i umyślnie rumowiskiem zarzucona na parę łokci, tak ażeby chcąc iść dalej, musiano ją mozolnie oczyszczać. Po odrzuceniu cegieł, ziemi i kamieni poszli dalej już nie murowanym kurytarzem, ale w glinie wybitem przejściem na kształt rzymskich katakumb lub kijowskich pieczar.

Niemiec, który na wszystko zwracał uwagę, na pyłem okrytej ziemi odkrył ślady wyraźne stóp ludzkich, i doszedł bacznie się im przypatrując z latarką, że szedł jeden tylko ślad ku piwnicy pod dworek, a napowrót były stopy dwóch ludzi widoczne. Stopa pierwszego zgadzała się z wyciskiem w przeciwnym kierunku idącym, drugiego zaś była znacznie mniejsza i kształtniejsza.

W pewnej odległości pieczara znowu się znalazła zawaloną suchemi kamieniami, które mozolnie rozrzucać było potrzeba. Szli w różnych kierunkach błąkając się w prawo i lewo, ale Niemiec śledził stopy i niemi się kierował. Po bokach często dosyć natrafiali mocno i oddawna zamurowane drzwi, zapewne do innych lochów prowa-

dzące. Na ostatek po dość długiej tej wędrówce niewygodnej, a dla żołnierzy strasznej, napłoszywszy nietoperzy i szczurów mnóstwo, postrzegli słabe światełko dzienne, przedzierające się z za gęsto splecionych gałęzi.

Był to otwór o łokci pięć w górze umieszczony, który, jak się ze zbadania okazało, wychodził po nad brzeg rzeki Styru... na pustkowiu za miastem.

Na tem musiało skończyć się to śledztwo, przekonaniem jak najmocniejszem, że więzień uszedł skrytemi lochy pod domkiem, ale kto mu je wskazał i przeprowadził go, tego badanie najściślejsze odkryć nie potrafiło. Spólnicy ucieczki pozostali nieodgadnięci.

Chciano rzucić podejrzenie na tych, którzy dworek wyznaczyli dla więźnia, ale ci łatwo się oczyścili z zarzutów jako niemiejscowi i nie mogący wcale znać tajemnic tych podziemi, o których nawet policja miejska nie miała dotąd wiadomości.

Z ucieczką Pawła Zeńczewskiego wiele rzeczy dawało się jakoś łatwiej ukończyć, bo zrzucano na niego co kto chciał. Wszakże głównie obwiniony Załowicki, mimo starań rodziny skazanym został na wywiezienie do Irkucka, Rabczyński na

rok w twierdzy, a podsędek na mieszkanie przez czas nieograniczony w Orenburgu.

O Pawle od tej pory nikt więcej ani słyszał ani wiedział, znikł jak w wodę wpadł.

W rok po opisanych wypadkach pan podsędek Jagłowski, uzyskawszy bardzo pochlebne świadectwo od władzy miejscowej (grywał w wista z gubernatorem), potem urzędowy atestat o nader złym stanie zdrowia, za szczególną łaską monarszą powrócony został na mieszkanie do Radziszewa pod najściślejszym (naturalnie) nadzorem policyjnym. Znaczyło to, że się nieograniczenie policyi opłacać musiał. Skołatane wypadkami temi zdrowie i tu w pośród świeżego, wiejskiego powietrza poprawić się nie chciało. Podsędek posmutniał, postarzał, bolał, skarżył się, pojechał do Kijowa, siedział tam miesiąc i dostał znowu urzędowe świadectwo zarządu lekarskiego (wraczebnij uprawy) iż pod karą śmierci należało mu szukać łagodniejszego klimatu.

Ponieważ gospodarstwem i interesami zajmować się nie mógł, a trafiał się właśnie kupiec na Radziszew, dobry, stary przyjaciel podsędka, pan Trzaskowski, sprzedane więc zostało stare, odwieczne, prapradziadowskie mienie w obce ręce...

Dopóki sprzedaż ta przedstawiała się jako interes pieniężny, pan Jagłowski nie zdawał się cierpieć wiele, ale gdy dopełniwszy formalności przyszło pożegnać te kąty, na których rodzicielskich stóp ślady wyryte były, gdzie się rodziło, dzieckiem bawiło, żyło, bolało, oblało łzami i obłogosławiło szczęściem, okrutny żal ścisnął serce. Podsędek, ciocia, nawet najweselsza dotąd panna Celina chodziła ze łzami w oczach, nie mogąc się rozstać z błogosławionej przeszłości pamiątkami.

Ze wsi co chwila przywlókł się ktoś płacząc do dworu, mamka panienki, siostra mleczna starego jegomości, kumy, dzieci do chrztu trzymane, przyjaciele, słudzy.

Wszystko to w niepewności, co jutro sprowadzi, stękało, załzawione oczy ocierając, podsędek rozdawał dożywocia, rozdarowywał grunta, ale poczciwym ludziskom jego samego i ojcowskiego serca żal było.

Trzaskowski, który (jak u nas pospolicie mówiono) nastawał po nim, był bardzo dobrym i łagodnym człowiekiem, ale z tamtymi się żyło, znało i tyle lat przebiédowało! Ostatnie dni były ciężkie a smutne. Niektóre sprzęty już powywożono, rozdarowano, inne stały jeszcze rozrzucone w nieładzie czekając jaki je los spotka. Celina cho-

dziła, stawała i ocierała łzy. Każdy z tych pokojów coś jej z krótkiego życia przypominał.

Podsędek i Celina mieli razem wyjeżdżać za granicę, ciotka, która część sprzętów zabierała, wybrała sobie schronienie w klasztorze, nie chcąc na starość z kraju wyjeżdżać. Choć Jagłowski mówił o prędkim powrocie, choć był on niby w zamiarze... z innych słów domyślać się godziło, że już może nie rychło, albo nawet nigdy nie powrócą do kraju.

Był to ostatni dzień pobytu w Radziszewie, oczekiwano na przyjazd Trzaskowskiego, który przybywał objąć nowe dziedzictwo. W dziedzińcu stała milcząca gromada z wiosek do Radziszewa należących... po pokojach na pół pustych chodził ojciec z założonemi na piersi rękami i córka sparta na jego ramieniu.

Staremu łzy czasem kręciły się w oczach, ale udawał obojętnego, aby Celiny nie dręczyć. Przez okno widać było ogród zasadzony przez podsędka, i w dali pola a lasy. Stanął napoić się tym widokiem i nie mogąc powstrzymać, rzekł:

— Dziecko moje, tobie młodej, która rozpoczynasz życie, nawyknąć do innego kraju i obyczaju nie będzie trudno, ale mnie co je kończę, pamięć dni ubiegłych nawetby z raju tu ciągnęła. Tum wprowadził matkę twoją, tu przeżyłem z nią szczę-

śliwych dni niewiele... tuś mi swoją młodością rozjaśniła wdowieństwo... miałem przyjaciół, miałem chwile jasne, a w najgorszym razie, ciszę i spokój. Ale potrzeba uczynić ofiarę, czynię ją, nie skarzę się... pozwólcie mi tylko tęsknić trochę.

To mówiąc w czoło ją pocałował, ona schyliła się do jego ręki.

Stali właśnie przed kominem, którego tajemnicza klapa ocaliła życie zbiegowi... Celina spojrzała na nią i zarumieniła się.

— Niechże nie mam dla ciebie tajemnicy, ojcze drogi — odezwała się — oto ta kryjówka, którą ty wymyśliłeś, ocaliła życie mojemu bohaterowi, służyła mu za schronienie... a chwila, w której mu ją ukazałam... stanowiła o moim losie i przyszłości. Do ocalonego przywiązałam się coraz silniej.

— Więc ty mu ją... pokazałaś? jak? kiedy? — zapytał ojciec. Celina rumieniąc się ale ze spokojem czystego serca opowiedziała ojcu wszystko po raz pierwszy... Podsędek milczał, zadumany.

— Cuda to są— odezwał się wreście— a cudów takich tylko miłość dokazać może, ale tylko tak poczciwa i święta jak twoja.

To nic jeszcze było, ujść z Radziszewa... ale kto mógł i jakim sposobem wykraść go z tamtego więzienia strzeżonego i obwarowanego tak pilnie?

Celina milcząc pocałowała go w rękę, spojrzała mu w oczy, i cicho, bardzo cicho odparła:

— Bóg.

— Ale czyjąż ręką? juściż... juściż nie twoją, dziecko moje.

— Moją, moją, słabą kobiécą dłonią cud się ten dokonał — pomogli poczciwi ludzie.

Podsędek w dłonie klasnął z podziwienia; ale w tem trzaskanie z bicza oznajmiło przybycie nowego dziedzica. Jeszcze stali przy tym kominie, gdy wszedł Trzaskowski i podał rękę podsędkowi.

— Słuchaj Trzaskowski — rzekł do niego po przywitaniu podsędek, prowadząc go do klapy, która zamykała kryjówkę, i pokazując mu jak się ona otwierała — nikt o tem nie powinien wiedzieć oprócz ciebie... oto masz schówkę, która już jednemu człowiekowi życie ocaliła. Bogdajeś jej nie potrzebował nigdy, ale gdybyś, uchowaj Boże, miał co ukrywać... niech ci ona tak dobrze, jak nam usłuży! Ale cyt, idźmy do gromady.

Opisane wypadki działy się w roku 1838 i początku 1839; musimy posunąć się w bliższe nas znacznie czasy, chcąc historyą poznanych osób dokończyć.

Ale z cichego tego szumiącego lasami Polesia wołyńskiego, przeskoczym daleko, daleko aż na brzegi genewskiego jeziora.

W lat siedem potem, historya o emissarjuszu przerobiona już poetycznie na legendę, przyozdobiona dodatkami chodziła w nowej i pięknej szacie po dworach i dworkach, a nawet karczmach i chatach. W Olszowie pokazywano ów historyczny loszek, w którym Paweł był ranny i schwycony. W miasteczku chodzili ciekawi oglądać dworek, z którego uszedł cudownie, w lesie przejezdni stawali przed karczemką, w której się spotkał ze sprawnikiem. Ale o pułkowniku Szuwale mało już kto pamiętał, zrobiono z pozostałości po nim postać fantastyczną, coś nakształt ludożercy, coś w rodzaju Murawiewa.

W roku 1845 przesunął się przez nadsprejską stolicę jenerał moskiewski, który zdawał się po raz pierwszy gościć za granicą... przypatrywał się ludziom z podziwieniem naiwnem, a ludzie też mu się przypatrywali z uśmiechem.

Widać, że sądził, iż mu to doda powagi, bo od granicy jechał z wielkim krzyżem św. Włodzimierza na szyi, który starał się uczynić widocznym; potem przekonawszy się, że tylko się ironicznie z tej ozdoby uśmiechano, schował ją do kieszeni i nawiązał sobie na sposób pruski wstążeczek w pętlicy... nareście dalej już podobno, jako nieskutkujące i te pstrocizny odrzucił... Pozostała mu wszakże fizjognomja, po której mikołajewskiego sługę i moskiewskiego wojskowego poznać było łatwo i bez orderów... choćby się z tem zataił. Był to mężczyzna nie młody, dobrze już posiwiały, z wąsami ogromnemi, barczysty, trzymający się prosto, chociaż na nogę jedną nakuliwał. Wyraz jego twarzy dla cudzoziemców złagodzony, był wszakże jeszcze ostry i nieprzyjemny. Mówił w ogóle mało, chociaż z łatwością wyrażał się po francuzku. Jechał, jak powiadał sam, dla zdrowia i wypoczynku. Podróż zapędziła go aż nad jezioro Leman. W Genewie stanął w najparadniejszym hotelu des Bergues, i kazał sobie dać mieszkanie z widokiem na jezioro i górę Białą.

Pierwszego zaraz dnia zejść raczył do wspólnego z innymi podróżnymi stołu... Niewiele patrząc na nich, zajął swe miejsce, które mu oberkellner uprzejmie wskazał, polecając aby szampańskie w lód wstawiono, bo innego wina nie pił.

Po chwili dopiero usiadłszy podniósł głowę i po współbiesiadnikach rozpatrywać się zaczął. Nagle zadrżał, serweta, którą trzymał w rękach, wysunęła się... zdawało się iż chce porwać się z krzesła, zarumienił się, pobladł i widocznie zmieszał... oczy jego nieruchomie były wlepione z wyrazem podziwienia i przestrachu na siedzące naprzeciw osoby, zajęte między sobą żywą i wesołą rozmową. Te go jeszcze nie były spostrzegły.

Młoda i piękna kobiéta, przystojny pełen życia z czarnemi oczyma mężczyzna i podżyły wąsaty, blado wyglądający człowiek... właśnie miejsca naprzeciw zajmowali.

Jenerał wciąż miał w nich wlepione oczy, kręcił się niewiedząc co zrobić z sobą, po kilkakroć chwytał za krzesło, chciał je odsunąć, potem znowu niby zawstydzony, niepewien przysiadał. Wejrzenie jego obłąkane spadało na talerz, i nie mogąc wytrzymać wracało na twarz energiczną młodego mężczyzny.

W chwili tego wahania się z przeciwnej strony stołu dał się słyszeć wykrzyk lekki, szmer słów

żywo zamienionych... jakby spór jakiś... i mężczyzna o czarnych oczach, gwałtownie posunąwszy krzesło, porwał się z miejsca... Wzrok jego buchał płomieniem... wargi drżały, ręce miotały się... Jenerał postrzegł to, zbielał, ale udawał zrazu, że nie widzi.

— To on! — powtarzała kobiéta — to on!

— Tak, to on! — zawołał rozogniony jej towarzysz... i zabierał się jakby do wyjścia.

Przy stole siedziało najmniej trzydzieści osób, po większej części Anglików, Amerykanów i Francuzów. Wszyscy na widok tego niewytłumaczonego zamieszania, którego przyczyny nie rozumieli dotąd, podnieśli oczy na bladą, strwożoną kobiétę, która usiłowała się wysunąć, okazując wstręt i wzgardę, na starego mężczyznę, starającego się ją uspokoić, na czarnookiego, który cały drżał gniewem i uniesieniem.

— Panowie— odezwał się nareście po francuzku ostatni — wybaczcie nam, że musimy stół i miłe towarzystwo wasze opuścić... nie możemy spokojnie pozostać razem... z katem!

Kilka Angielek ruszyło się z krzeseł, posłyszawszy ten wyraz... oznaki oburzenia wyrwały się z ust wielu, oczy wszystkich zwrócone były na jenerała, którego mężczyzna ręką ukazał.

— Tak jest — ciągnął dalej — oto jest... ten człowiek... to kat!! Godził on na życie moje, ścigał mnie jak dzikie zwierzę; darowałem mu życie, mając go w ręku, gdy na kolanach czołgając się przedemną błagał o nie... a w chwilę potem zdradziwszy przysięgę... godził już na mnie... Winienem mu dwie rany zadane zdradziecko... długie więzienie i prześladowanie. Żaden uczciwy człowiek nie zechce z nim usiąść przy jednym stole... a przynajmniej — ja — nie mogę!!

Jenerał w samym początku tego przemówienia porwał się z wściekłością w oczach i nożem w ręku, chcąc rzucić na przeciwnika, ale siedzący obok barczysty Anglik chwycił dłoń jego w żelazne palce i ścisnął mu ją tak, że mimo miotania się ruszyć nie mógł. Ciskał się tylko jak opętany i pienił...

Wszyscy z kolei odsuwali krzesła, rzuca talerze, ucickając od stołu, jedna blada Miss zem dlała, dzieci zaczynały płakać... na hałas i wrzaw nadbiegł gospodarz... Anglicy i Amerykanie p wtarzali tłumnie:

— Kat! Moskal! Precz z nim! Precz z nim.

Wkrótce wołanie to prawie jednogłośne, n tarczywe, rozkazujące, namiętne, szyderskie, g źne... zmusiło zbladłego jenerała do ucieczki.

Nóż mu tylko wprzód wyrwano z dłoni, a gdy się z miejsca ruszył, ścigano świstaniem i krzykami szyderskiemi: — Precz z katem! precz z katem!

W ślad za uciekającym jenerałem pobiegł wylękły oberkellner, dzierzawca hotelu, sześciu garsonów i urzędnik policyjny, który się był zjawił w progu.

Po całym hotelu powtarzali słudzy, którzy się zbiegli... kat! kat! W ulicy już tłum się poczynał gromadzić, a wieść o ukazania się kata... chodziła między gminem.

Jenerał nie mając czasu tłumoków zapakować, musiał tylnemi schodami okryty płaszczem uciekać do dorożki, którą mu sprowadzono... a ta go szczęściem niewiadomo już dokąd uniosła.

Ale długo potem jeszcze tłum okrążał hotel i goście nie rychło się uspokoili. Ostygłą zupę na nowo rozdawać poczęto. Wszystkich oczy ciekawie zwrócone były na młodą parę, a pan Paweł Zeńczewski zmuszony został zgromadzonym opowiadać ze szczegółami historję swoją... którą i jabym teraz mógł wyśmienicie zakończyć starym zwyczajem nianiek, co nam bajki prawiły: — I ja tam byłem, miód, wino piłem... po brodzie ciekło, w ustach nic nie było.

Piliśmy wszakże nie rozlewając po brodzie uroczyście i ochoczo zdrowie państwa Pawłowstwa Zeńczewskich, na pomyślność i wskrzeszenie starej Polski... na zgubę barbarzyństwa moskiewskiego, a w ostatku ku czci swobodnych Szwajcarów, za pomyślność Helweckiej ziemi.

Domyśli się czytelnik łatwo, że pan podsędek dla tego tylko sprzedał Radziszew, ażeby z kraju się wynieść z córką, o której przywiązaniu do Pawła wiedział. Celina dała mu słowo i poprzysięgła, że będzie jego żoną lub niczyją.

Paweł po ucieczce swej z więzienia w pierwszych dniach, gdy go na wszystkich gościńcach ścigano, musiał się skryć i przechowywać w ruinach jednego ze spalonych klasztorów, przebrany w nędzną odzież żebraczą...

Trzeba się było dać nieco Moskalom ze złości wysapać.

Kilka śmielszych osób, kilku poczciwych ludzi w mieście i na wsi pomagały w tem niebezpiecznem ocaleniu, którem kierowała głównie Celina... obmyśliwszy drogę dalszą do granicy.

W miesiąc dopiero udało się, do niepoznania zmienionego Pawła, przebranego w sukienkę duchowną, opatrzonego w paszporta i świadectwa

urzędowe, wyprawić z okolic Pińska do jednego z klasztorów na Litwę.

Podróż ta znowu była pełna przygód i niebezpieczeństw, ścigano bowiem jeszcze innych spiskowych, ukrywających się po kraju, a duchowieństwo zacne jak dziś tak wówczas obudzało podejrzenie, i habit nie bardzo zabezpieczał. Ale droga, którą się przedzierał Paweł, bardzo troskliwie była obmyślana.

Chociaż dosyć powolnie, dostał się nareście Zeńczewski na Litwę i ku granicy pruskiej. Tu zmienił znowu odzież, stan, fizjognomją i przedzierzgnął się na poddanego pruskiego, podróżującego dla kupna skór. Z ładunkiem ich przejechał on szczęśliwie granicę i nie zatrzymując się w krajach, w których łatwo jeszcze mógł być pochwycony i wydany, oparł się aż w Belgii.

Opowiedzieć tę wędrówkę w kilku słowach łatwo bardzo, ale ile ona kosztowała wysiłków, ile życia! ile na nią potrzeba było wyszafować męztwa a razem sztuki!—ci tylko obliczą, co się kiedy choć chwilowo w podobnem położeniu znajdowali. Nie jeden raz Paweł winien był ocalenie swoje śmiałości, z jaką się ocierał o urzędników, panowaniu nad twarzą, która nie zdradzała uczuć, lub szczęśliwemu trafowi, który się go zdawał ochraniać w chwili najgroźniejszego niebezpie-

czeństwa. Dopiero przebywszy moskiewską rogatkę uczuł, że się wydobył z więzienia, bo państwo to całe jest jedną tylko wielką turmą, pełną więźniów i straży.

W Belgii powrócił on do dawnych zatrudnień. Pobyt w kraju przekonał go najmocniej o bezużyteczności tego rodzaju spisków, szkodliwości emissarjuszów. Jął się więc skromnej pracy dla chleba i uczył znowu zegarmistrzostwa.

Nie miał nawet pociechy przesłania dzięków i wieści o sobie pannie Celinie, bo list byłby ich zdradził. Dopiero nie rychło jadący cudzoziemiec zawiózł słowo od niego mężnej niewieście. Podsędkówna znalazła sposób dać mu wiedzieć o swym wyjeździe z kraju, i spotkali się w Brukselli. Jagłowski stary był przygotowanym na wszystko, kapitał ocalony potajemnie wprzódy wysłał za granicę, i mimo tęsknoty do kraju, z córką razem pozostał tu na zawsze. Powrót byłby go niechybnie na srogie znowu prześladowanie wystawił.

Tak szczęśliwiej nad inne ukończył się ten p:zod tragiczny wewnętrznej historyi naszej nieszczęśliwej ojczyzny, której dzieje podobnych scen krwawych i łzawych liczą tysiące!...

Lucerna 18. września 186[illegible]

Księgozbiór H. FILOCHOWSKICH

KSIĘGARNIA
ANTYKWARIAT
DOM KSIĄŻKI
C 502137

Biblioteka Raczyńskich
JIK 104
JIK0104